MAJ.

ŚWIĘTO MAJOWE.

Co rok przebywamy od lat sześciu tę samą gorączkę... Z końcem kwietnia, kiedy pąki drzew zaczynają kokietować z wiosennem słońcem, wydają rządy europejskie cały szereg jawnych i tajnych okólników do wszystkich władz policyjnych i komend wojskowych, a w okólnikach tych ostrzegają przed manifestacyami i demonstracyami robotniczemi w dniu 1. maja. Późniejsze dzieje zaznaczą kiedyś te pierwsze lata święta majowego jako łamanie się coroczne dwóch prądów: tego, co u dołu nurtuje i od czasu do czasu wybucha w okrzyku: „Swobody, fabryk i ziemi!“ i tego drugiego u góry, który poskramia i przycisza to właśnie...

Dziś, kiedyśmy przeszli pierwsze lata, — niejako wstępną fazę wahania się początkowego; kiedy śmiało możemy powiedzieć, — że święto majowe to święto ludowe, święto mas szerokich, warto się zastanowić nad początkowym jego przebiegiem i nad jego treścią duchową.

Na jednem z ostatnich posiedzeń międzynarodowego kongresu w Paryżu w r. 1889. odbytego, postawiło dwóch delegatów, amerykanin i francuz wniosek, aby kongres uchwalił jeden dzień w roku, dzień 1. maja, celem urządzenia pokojowej manifestacyi przeciw wojnom. Ponieważ światła gazowe były już skręcone, przeto wniesiono na stół prezydyalny świece, aby módz jeszcze ten wniosek przedyskutować. Wniosek został przyjęty. W rok potem nikt jeszcze nie miał jasnego pojęcia, jak też będzie wyglądał ów dzień przeznaczony na międzynarodową manifestacyą.... Najbardziej dziwaczne przypuszczenia tworzyli naturalnie ci, którzy dotknięci nieuleczalną ślepotą, nie rozumieją żadnego ruchu ludowego. Burżua i filister przedstawiał sobie dzień 1. maja jako krwawy termin mordu i podpalania! Tak zwany „świat paryski“ uciekł z końcem kwietnia do wszelkich możliwych hotelów i will podmiejskich lub jeszcze dalej na prowincyą, aby tylko od „tłuszczy“ się uchronić.... Ba — nie szukając przykładów daleko — możemy skonstatować, że nawet lwowski filister zakupywał w wigilią 1. maja rewolwery w handlu p. Dzikowskiego, który podobno miał zrobić na tem świetny interes... Wojsko skonsygnowano wszędzie, a pod Paryż posunięto 15.000 wojska z prowincyi. Ulic w tym dniu nie zlewano w stolicy Francyi, aby kawalerya mogła wygodniej przypuszczać szarże na lud. Rządził wtedy minister Constans, „zbawcą“ niedawno ogłoszony po wykurzeniu Boulangera. W Niemczech, w tej wielkiej kasarni Europy, panował przez jeszcze cały rok poprzedni Bismark ze swoim stanem

oblężenia. Wszystkie rachuby zatem mogły tu zawieść.... Austrya, wiecznie zapatrzona na Niemcy, nie wiele dodawała otuchy.

A przecież 1. maja roku 1890 przekonał nawet najzacieklejszych wrogów i najbardziej wątpiących zwolenników, że uchwała paryskiego kongresu padła w łono masy ludowej, jak ziarno na bujną pada glebę, że myśl takiej międzynarodowej wspólnej manifestacyi odpowiadała najgłębiej odczutym potrzebom.

Od Bordeaux aż do Lwowa lud robotniczy pochwycił skwapliwie tę wspaniałą sposobność do wspólnej wielkiej demonstracyi, chwycił i wprowadził w życie z siłą, wobec której padły wszelkie postrachy przeciwników, wszelkie pogróżki wojsk i zbrojnej policyi, której nie zdołały osłabić ohydne wybryki kapitalistycznej prasy, istne orgie bezwstydu i kalumnij urządzane na kilka tygodni w każdej gazecie przeciwników, począwszy od „Figara“, a skończywszy na lwowskim „Dzienniku“. Trzeba czytać ówczesne dzienniki, aby zrozumieć istotę tych zajadłych ataków. Wobec nich bezbronna masa ludu szykowała się w ciszy do obchodu swego święta i na 1. maja wystąpiły tysiące z fabryk i ponurych warsztatów na ulicę w strojach świątecznych....

W Niemczech, w tem gnieździe reakcyi ówczesnej, rozpoczęła się najzaciętsza walka. Najsilniejszą organizacyą z pośród miast niemieckich cieszył się Hamburg. Tu zaprzestało też pracy 60.000 ludzi i obchodziło 1. maja; tutaj też potężni kapitaliści postanowili dotkliwie ukarać robotników. Wyrzucono na bruk 60.000 świętujących. Organizacya utrzymywała przez całe tygodnie kilkadziesiąt tysięcy rodzin robotniczych dotkniętych nędzą. Długi swoje z tego czasu płacił Hamburg jeszcze w r. 1890! Wynosiły one setki tysięcy marek...

Wiedeń również stanem oblężenia wycieńczony odmłodniał i spotężniał pod wpływem 1. maja. Nie widziano jszcze w Praterze takiego olbrzymiego orszaku robotniczego, który tem większe robił wrażenie, że w dniu 1. maja odbywa się zawsze we Wiedniu *corso* wyścigowe, jako w dniu rozpoczynającym sezon wiosenny. Nieskończone szeregi karet i powózów pełnych arystokracyi i dam z półświatka zrównały się dnia tego z jeszcze dłuższymi szeregami ludu w niebieskich robotniczych bluzach, ludu ustrojonego w czerwone odznaki partyi socyalno-demokratycznej i patrzącego na karety niełaskawie... W Polsce 1. maja „przyjął się“ od razu... Na ulicach Białej strzelano do ludu i kilku robotników krwią swoją zadokumentowało przynależność Polaków do wielkiej międzynarodowej rodziny... Szarże ułanów nie zmiotły z polskiej ziemi święta robotniczego. We Lwowie otrzymał 1. maja zupełnie przypadkowo bardzo tragiczny charakter. Na dwa dni przed uroczystością spłonęły wielkie budynki warsztatów kolejowych, a filister lwowski połączył ten pożar z ruchem robotniczym! Pomimo tego zgromadzenie w podwórzu ratuszowem było okazałe i poważne.

Jeżeli pierwsza ogniowa próba wypadła pomyślnie, to dalsze lata pokazały, że będzie można dnia tego użyć do policzenia się niejako, do rewii wiosennej, ponieważ święto majowe łączyło we wszystkich zakątkach masy robotnicze już stale bez względu na wszel-

kie możliwe przeszkody. Nawet tam, gdzie przemoc rządowa jest dostatecznie wielką, aby módz zdusić i stłumić wszelki normalny ruch opozycyjny w ludzie, nawet pod carskiem berłem nabrało święto majowe tej wielkiej, żywiołowej siły, która jak strumień wezbrany nie cofa się przed niczem... Warszawa, Łódź i polskie okręgi wogóle, są na 1. maja stale widownią najgłębiej idącego poruszenia mas ludowych. 1. maja r. 1892. w Łodzi jest po prostu powstaniem ludowem, stłumionem we krwi przez wyprawę wojenną rosyjskiego żołdactwa.

Że proletaryat czuwa zazdrośnie nad swojem świętem i żąda, żeby każda narodowa grupa wytężyła wszystkie siły, aby z dnia 1-go maja zrobić rzeczywistą wielką demonstracyą, tego dowodem dalsze międzynarodowe kongresy: brukselski i zurychski, które pomimo wszelkich oportunistycznych względów na ustawodawstwo danego państwa albo na konjunkturę ekonomiczną utrzymały w całej pełni polecenie, aby starano się przeprowadzić konsekwentnie i w zupełności bezrobocie na 1. maja. Łatwo zrozumiałą jest rzeczą, że bezrobocie jest nie tylko samo przez się demonstracyą, ale wprost warunkiem dla udania się całej manifestacyi. Tam np. gdzie nie wolno urządzać zgromadzeń lub publicznych pochodów, tam wystarcza bezrobocie w połączeniu z najniewinniejszą zabawą lub wycieczką towarzyską. I na tym punkcie możemy mierzyć całą niskość poglądów patentowanej prasy kapitalistycznej w całej Europie. Długie lata udawano oburzenie na socyalistów z tego powodu, że przyprawiają robotników o stratę jednodniowego zarobku i to miało być powodem, żeby zaniechać święta majowego! Równocześnie ta sama prasa znosi spokojnie ustrój, który każe setkom tysięcy robotników przymusowo i bezcelowo próżnować w t. zw. sezonie martwym lub podczas przesilenia ekonomicznego, będącego dzisiaj już stałem zjawiskiem. Ci sami ludzie z rozkoszą wzywają ludność do porzucenia pracy, aby powitać którego z wędrownych monarchów, lub aby obchodzić jakąś pamiątkę historyczno-narodową wątpliwej nieraz wartości cywilizacyjnej lub narodowej. Wszystko to waży w ich oczach więcej niż powody, które robotnika wzywają do przyłączenia się do manifestacyi obejmującej świat cały!...

Jak dalece na odwrót organizacye robotnicze zrozumiały istotę 1-majowej manifestacyi, wypływa z innych znów interesujących nader faktów. Tam, gdzie przerwanie pracy na 1. maja grozi zbyt ciężkiemi represyami, zupełną utratą roboty i wyrzuceniem na bruk, próbowali ludzie dobrze myślący zaproponować, aby ominięto te trudności w ten sposób, że robotnicy będą pracowali, ale cały zarobek, lub część jego oddadzą na fundusze partyjne. Pomimo, że myśl ta grasuje od roku do roku, nigdy i nigdzie nie zdołała się ona przyjąć na szerszą skalę. Żadna zapłata pieniężna nie zdoła zastąpić żywego udziału robotnika w tej wiosennej rewii ludowej. Upór i zaciętość, z jaką masy ludowe raz już poruszone bronią swego święta, jest częstokroć zdumiewający i wprost imponuje. Piszącemu te słowa zdarzył się raz na jednem z wielkich zgromadzeń w Białej przed 1. maja następujący wypadek. Miejscowy komitet agitacyjny posta-

nowił na razie zaniechać świętowania i miał do tego całkiem słuszne powody. Najpierw skonsygnowano w mieście wojsko, a następnie zuchwali fabrykanci grozili zamknięciem pracy na 14 dni w razie świętowania 1. maja. Uczynili to byli w roku poprzednim i g ł o d z i l i tysiące rodzin robotniczych z okrucieństwem i zajadłością dzikich ludzi. Na zgromadzeniu więc owem wszystko, co tylko było „roztropnem“ i co czuło na swem sumieniu odpowiedzialność za przyszłość, przemawiało przeciw świętowaniu. Ani jeden mowca nie przemawiał za świętowaniem. Wreszcie po dwu godzinach przystąpiono do głosowania i wszyscy głosowali za święceniem 1. maja wśród burzy namiętnych oklasków! 1. maja zbudził siłę żywą i ograniczonym człowiekiem jest ten, kto tego zrozumieć nie może. Na początku już wspomnieliśmy o tem, jak przeciwnicy majowej manifestacyi zrobili z niej jakiś dzień sądu ostatecznego, dzień mordu i grabieży. Całkiem naturalne, że goręts znów zwolennicy zrobili zeń dzień rewolucyi, mającej się odbyć w jednym dniu na całym kontynencie.... I jedni i drudzy nie mają słuszności. Ani nastrój mas w tym dniu nie upoważnia nikogo do obaw przed mordem, ani też w jednej godzinie nie wybuchają nigdzie gotowe rewolucye... Takich rzeczy nie robi się według kalendarza. Gdyby 1. maja nie był niczem innem, jak tylko próbą i symbolem solidarności międzynarodowej uciśnionych, już byłby przez to samo wart największych choćby ofiar. Ponieważ nadto wyszedł on z wolnej woli organizacyj ludowych, ponieważ został dobrowolnie naznaczonym i wbrew wszystkiemu utrzymanym w pełnej sile, wart jest tem tkliwszej i bardziej nieustraszonej obrony.... Wszak wszystkie niemal święta kalendarzowe mają już tylko znaczenie symboliczne, a przecież kościół stoi twardo w ich obronie wobec najbardziej nawet groźnych prześladowań.

Oczywiście, że manifestacya głodnych i ujarzmionych musi nieść ze sobą namiętne głosy wołające o chleb i swobodę, to też i tutaj widzimy, że w poszczególnych krajach złączono ze świętem majowem żądanie wprowadzenia 8-godzinnego dnia pracy, a w Austryi n. p. żądanie praw politycznych.

Wielu naiwnych, chociaż dobrych ludzi bawi się przy okazyi 1. maja w bajanie o „budzeniu się przyrody do życia“, o tem, że robotnicy święcą 1. maja, jako pierwszy dzień wiosny itp. Otóż jest to pogląd nieszkodliwy, ale fałszywy. Przedtem, nim robotnicy zrobili dzień 1. maja dniem demonstracyi, był on „pierwszym dniem wiosny“ we wszystkich szkołach rządowych i w kołach wyścigowych panów. Skoro tylko robotnicy nadali mu głębokie s p o ł e c z n e znaczenie, w tej chwili zabroniono święcenia 1. maja w szkołach, urzędach, bez względu na wiosnę, kwiatki, słowiki i skrzeczące w wiosennych błotach żabki... Nadto n. p. w Australii jest dzień ten początkiem zimowej pory, a pomimo tego socyaliści australscy obchodzą go uroczyście. Gdyby dzień ten miał być w swej istocie tylko dniem sentymentalnego omdlewania wobec wiosennych czarów przyrody, wart byłby, aby go święcili poeci, zakochani itp. szczęśliwi ludzie; lud w masie swej drogo wyzyskiwany, nie przelałby zaś ani kropli krwi... Czułe frazesy o wiośnie zostawmy przeto wierszorobom.

Wreszcie niechaj mi wolno będzie poświęcić słów parę dziwnemu błędowi, który u nas powstał wśród publicznej dyskusyi o 1. maja. Zrodziło go dziennikarstwo galicyjskie i podniosło nonsens do znaczenia argumentu, jak zwykle w Galicyi. Pierwszemu majowi przeciwstawiono trzeci maja. Dlaczego? tego chyba nikt racyonalnie wytłómaczyć nie zdoła. Że w kalendarzu zeszły się te dwie daty, to przecież nie może chyba rozstrzygać. Trzeci maja jest pamiątką historyczną, poświęconą konstytucyi z przed stu lat. Gdyby ta pamiątka przypadała np. 22. stycznia, nikomuby ani przez myśl nie przeszło, że te dwa dni kolidują ze sobą. Cóż bowiem ludowi polskiemu miałoby wspomnienie konstytucyi 3. maja przeszkadzać w międzynarodowej manifestacyi braterstwa? Kto oba te dni świadomie przeciwstawia, ten nie rozumie znaczenia żadnego z nich. Żadna, nawet najgorsza konstytucya nie zabrania ludziom głosić, że wszystkie narody powinny być braćmi, a z konstytucyi 3. maja chcą galicyjscy szowiniści zrobić nagle jakieś straszydło, zabraniające święcenia 1. maja. Gdybyśmy nie wiedzieli zbyt dobrze, z kim mamy do czynienia, tobyśmy chyba ręce załamali nad rozpaczliwą bezmyślnością dziennikarstwa galicyjskiego. Ale przestaliśmy się dziwić podobnym zjawiskom w kraju, gdzie dziennikarstwo z reguły nie jest zdolne do wyświetlenia jakiejkolwiek sprawy publicznej Zresztą zaznaczamy z zadowoleniem, że coraz mniej tego rodzaju zarzutów się słyszy. Sam rozwój święta majowego przyczynia się do tego.

Jakkolwiekby kto znaczenie i istotę święta majowego oceniał, to jednak zwolennik, czy wróg musi zastanowić się głęboko nad niesłychaną szybkością i siłą, z jaką klasa robotnicza w całej Europie i po za jej granicami wprowadziła w życie uchwałę międzynarodowego kongresu w Paryżu. Jest to znamiennem dla wielkiej zdolności zorganizowanych ruchów wielkich mas ludowych, dotychczas ciemnych i rozdzielonych, i pocieszającem na przyszłość, która może się zmienić na lepsze tylko pod hasłem: „Łączcie się i oswobadzaj!“

ŻEGOTA.

UGODA AUSTRYACKO-WĘGIERSKA.

Czy ugoda austryacko-węgierska zostanie zawartą już w rokn bieżącym, czy odnowionym będzie traktat handlowo-celny, łączący oba państwa habsburgskiej korony, i na jakich to nastąpi warunkach, dla której z targujących się stron korzystniejszym będzie wynik toczących się obecnie układów; — oto pytania. poruszające dziś do głębi opinią publiczną i sfery dziennikarskie. Tak zwane polityczne pisma rostrząsają niemal codziennie te zagadnienia, zawiadamiając skrzętnie swych czytelników o każdej konferencyi ministrów, co prawda nie podając zazwyczaj ich treści i skarżąc się na bezgraniczną chciwość Węgrów lub Austryaków, zależnie od tego czy wychodzą one w Cis- czy w Translitawii.

Myliłby się jednak, ktoby w całej tej sprawie „ugody“ widział jedynie targ, w którym każdy z sojuszników myśli przedewszystkiem

o tem, jakby samemu zagarnąć dla siebie przeważną część zysków, na barki zaś drugiego zwalić jaknajwięcej wspólnych rozchodów, i w obec tego odmawiał jej ogólniejszego teoretycznego znaczenia. Co prawda względy, któremi kierują się obie pertraktujące partye są przedewszystkiem natury fiskalnej, po za polityczno-psychologiczną stroną prowadzonych obecnie układów kryje się wszakże szeroki podkład polityczno-prawny i ekonomiczny, na którym one wyrosły.

Ów bowiem tak handlarski charakter wszystkich dotychczasowych układów, prowadzonych między Austryą a Węgrami, czy to o tak zwaną „ugodę“, czy też o handlowo-celny traktat, nie da się oczywista złożyć jedynie na karb tych lub innych partyj albo osób. Widzieliśmy różne osobistości i różne kierunki u steru państwowych spraw Austryi i Węgier — lecz stosunek rządzonych przez nie krajów pozostawał niezmiennym. Jest on więc wynikiem głębszych, stalszych przyczyn, niezależnych od chwilowych konstelacyj — politycznych sił interesujących nas państw.

Centraliści niemieccy upatrują przyczynę złego w podstawowym charakterze austro-węgierskiej unii przekazującej t. z. „souverenité“ poszczególnym częściom Monarchii. Zamiast związku państwowego, jakim są dziś Austro-Węgry, widzieliby oni chętnie państwo związkowe, zorganizowane na wzór Niemiec lub Szwajcaryi, którego składowe jednostki byłyby bezwarunkowo podporządkowane całości, otrzymując swą autonomią, swą prawodawczą siłę jedynie z woli państwowego całokształtu, w którymby wzajemny stosunek autonomicznych części wypływał z ich stosunku do państwa i regulowany był przez nie. Pogląd ten nie wydaje się nam słusznym. Korzystnem bowiem i trwałem może być związkowe państwo tylko wtedy, gdy wznosi się ono na podstawie kulturalnej jedności. Nie chodzi nam tu oczywista o tę lub inną jej specyficzną formę. Obojętnem więc nam jest, czy tym cywilizacyjnym łącznikiem jest wspólny język, plemienne pokrewieństwo — jak n. p. w Niemczech, — czy też historyczno-polityczna tradycya, którą widzimy w Szwajcaryi, czy wreszcie identyczna geneza ekonomiczna, której przykład dają nam Stany Zjednoczone Ameryki północnej; w każdym razie jednak niezbędną jest świadomość wspólnych kulturalnych interesów całej ludności związkowego państwa, łączących ją w odrębną od innych narodów cywilizacyjną jednostkę. Inaczej bowiem, w obec charakteryzującej nowoczesne kapitalistyczne społeczeństwo dążności narodowościowych grup do gwałtownego rozszerzenia swych wpływów po za swe naturalne granice, silniejsze kulturalne organizmy będą uciskać i wynaradowiać swych liczebnie słabszych sojuszników. Że podobna obawa nie jest bynajmniej płonną, dowodzi nam chociażby najnowsza historya państwa niemieckiego, w którem przewaga Prus wywołuje tak silną reakcyą na południu, iż daje się ona odczuć nawet w szeregach socyalnej demokracyi, a przecież cywilizacya północnych ziem niemieckich od południowych minimalnie się różni.

Jeśli więc dwa tak różne kulturalnie państwa, jak Austrya i Węgry, mają stanowić jeden polityczny organizm, — to możliwem

jest to jedynie w formie związku państwowego. Oczywista, stosuje się to nietylko do krajów habsburgskiej korony — i wartoby było, by o tem nie zapomnieli nasi ugodowcy z pod zaboru rosyjskiego, wysyłający deputacye do Petersburga w nadziei wyżebrania autonomii — szczytu swych marzeń. — Przyczyna zatem anormalnego stosunku Austryi do Węgier leży nie w samej zasadzie przyznającej „souverenité“ każdemu z tych dwóch państw z osobna, lecz w historycznej genezie kojarzącej je „ugody“ i w ich wewnętrznej polityczno-społecznej strukturze. Pierwsza z nich bowiem uniemożliwia jeśli nie na zawsze, to przynajmniej na długi jeszcze przeciąg czasu szczery stosunek, wolny od wszelkich uprzedzeń, podejrzeń i nienawiści rasowych. Sojusz, który dzięki pewnym historycznym warunkom wyłonił się z poddaństwa, nosić będzie zawsze na sobie piętno swego pochodzenia. Ciekawą pod tym względem ilustracyą jest stosunek Berneńskiego kantonu — do Wodejskiego i Fryburskiego. Niegdyś te dwa ostatnie znajdowały się w lennej zależności od Berna, który ze swych praw suwerena korzystał w niezbyt humanitarny sposób. Sto lat już niemal wszakże minęło od chwili gdy Fryburg i ziemia Wodejska otrzymały prawa kantonów równoprawnych z poprzednim ich suwerenem, — a jednak po dziś dzień widoczną jest ich niechęć do Berna, odzwierciadlająca się nietylko w towarzyskich stosunkach, w przysłowiach i pieśniach, lecz nawet w ekonomicznem i politycznem życiu. Też same przyczyny zrodziły i owe wzajemne niedowierzanie sobie Austryi i Węgier, wyrażające się chociażby w tem, że „ugoda“ zawieraną jest na określony termin 10 lat, zamiast na nieograniczony przeciąg czasu z prawem żądania przez każde ze związanych państw rewizyi, gdy uzna tego potrzebę, coby niechybnie miało miejsce, gdyby łącząca je unia miała swe źródło w dobrowolnym akcie woli, opartym na przeświadczeniu o korzyściach, płynących z niej dla obu interesowanych stron, nie zaś jedynie w historycznej ciągłości wypadków, działających siłą przymusu.

Wpływ tradycyi nie dawałby się jednak tak silnie odczuć, gdyby wewnętrzne stosunki Austryi i Węgier były normalniejsze, gdyby kraje te były w rzeczy samej jeonolitemi organizmami o wyraźnych, jednolitach interesach, gdyby posiadały one określone dążności, wspólne dla całej ich ludności. Lecz zarówno w Austryi jak i na Węgrzech tłem, na którem rozwija się całe polityczne życie, jest walka narodowościowa. Na Węgrzech występuje ona pod formą brutalnej madiaryzacyi Słowian, Rumunów i Niemców, w Austryi przybiera przedewszystkiem postać parlamentarnych targów między przedstawicielami Czechów, Niemców, Słowieńców, Polaków; czy jednak polem jej są couloiry rady państwa, czy też szkoły, sądy i lokale wyborcze — walka ta niemniej jest bezwględną. Oczywista, iż ani wyrosłe w podobnem otoczeniu polityczne partye, ani też wychowani w niem reprezentanci oficyalnej polityki nie mogą posiadać tej tak niezbędnej dla objektywnego traktowania wszelkich międzynarodowych zagadnień bezstronności. A gdyby nawet nie zbywało im na dobrej woli, to gdzież mają szukać wspólnych punktów porozumienia, gdy nawet żadne z obu państw z osobna wzięte

nie posiada ani kulturalnych, ani gospodarczych, ani wreszcie politycznych dążności, coby streszczały w sobie interesy całego ich organizmu? Z konieczności więc rzeczy muszą obecne partye i ich rzecznicy trzymać się w sprawie „ugody“ czysto fiskalnego stanowiska. Muszą więc one w tak zwanej kwestyi „kwot“ starać się nie o możliwie sprawiedliwy podział wspólnych rozchodów, lecz o zwalenie jaknajwiększej ich części na swego sojusznika. W tym to, a nie innym celu proponuje dziś Austrya rozłożenie ich wedle liczby ludności, a Węgry bronią dawnego systemu obrachunku podług siły podatkowej lub, ściślej się wyrażając, podług ilości płaconych w każdem państwie dodatków. Bezstronny jednak widz tego handlu z góry musi uznać zarówno jeden jak i drugi system za dowolny i fałszywy.

Publiczność nasza — specyalnie galicyjska — lubuje się w autorytetach. Więc i my powołamy się na autorytet i do tego pierwszorzędnej miary. Adam Smith, wyliczając warunki racyonalnego finansowego systemu, żąda, by ciężary państwowe rozłożone były na obywateli kraju wedle ich siły majątkowej. Oczywista, iż powyższa zasada stosuje się również i do związków państwowych, w których poszczególne, w skład ich wchodzące państwa noszą charakter prawnych jednostek. Tymczasem ani liczba mieszkańców, ani ilość płaconych przez nie podatków nie świadczy bynajmniej o zamożności kraju. A co gorsza, nie jesteśmy nawet w stanie orzec, które z tych kryteryów bliższem jest prawdy. Zarówno bowiem w przeciętnem bogactwie jednostek, jako też i w stosunku dochodów kraju do ciążących na nim podatków panuje jaknajwiększa rozmaitość, nie ujęta w żadne ścisłe karby. Są to wielkości tak zmienne i ruchome, że nie sposób określić stałych granic ich wahań. Absolutnie więc niemożliwem jest na ich zasadzie obliczyć przypuszczalne nawet bogactwo narodu. Co prawda Węgrzy proponują pewne ograniczenia, mające nibyto usunąć wadliwe strony bronionej przez nich zasady. Za punkt wyjścia chcą oni mianowicie przyjąć jedynie analogiczne w obu państwach podatki. Nie o wiele to jednak zmienia postać rzeczy. Każdy bowiem podatek posiada różne znaczenie zależne od jego pozycyi w ogólnym systemie państwowych dochodów. Tak n. p. podatek gruntowy reprezentuje inną część narodowego bogactwa we Francyi, posiadającej podatek od drzwi i okien, niż w Prusach, gdzie jest on uzupełnionym przez podatek dochodowy, lub w Królestwie *), gdzie istnieje podymne, drogowe, kwaterunkowe i wreszcie włościańska suma amortyzacyjna. Porównanie więc analogicznych podatków nie wyjaśni nam nawet stosunkowej siły poszczególnych gałęzi gospodarstwa narodowego, a tem bardziej nie zdoła określić nam stosunkowego bogactwa całego państwowego organizmu. Co się zaś tyczy podziału wspólnych rozchodów podług ilości mieszkańców kraju, to niema co nawet dyskutować tej kwestyi. Dziwić się tylko można, że ludzie, którzy przecież nie negują

*) W Królestwie różni się znacznie system podatkowy od obowiązującego w reszcie rosyjskiego państwa.

nauki, lecz starają się stać na jej wyżynie, głoszą się wyznawcami zasady nie różniącej się niczem od systemu pogłównego opodatkowania, potępionego oddawna zarówno przez wszystkie europejskie ciała prawodawcze, jak i przez całą bez wyjątku ekonomiczną wiedzę.

Bądźmy jednak sprawiedliwi dla poprzednich i obecnych twórców „ugody". Nie trudno nam krytykować ich projekty i plany. Gdybyśmy się jednak znaleźli w ich położeniu, — nie wiedzielibyśmy sami, co począć, gdzie szukać odpowiadającego wymaganiom sprawiedliwości i nauki kryteryum dla oceny podatkowej siły Austryi i Węgier. Nie znaczy to wszakże, by kwestya „kwot" była absolutnie nierozwiązalną. Rowiązanie jej możliwem jest i nie jest bynajmniej skomplikowane. Lecz przy dzisiejszym stanie rzeczy nie da się ono osiągnąć. Należy bowiem, by oba państwa z góry już chciały sprawiedliwego, dla obu stron możliwie korzystnego podziału „kwot" między sobą, by miały one na względzie jedynie dobro całości, nie zaś wyłączny swój osobisty zysk fiskalny i by gotowe były wreszcie zaprowadzić u siebie w dziedzinie własnych swych wewnętrznych spraw reformy, któreby stworzyły silną podstawę wzajemnego ich normalnego stosunku. Jedynem bowiem rozstrzygnięciem nierozwiązalnej tej dziś kwestyi byłoby zaprowadzenie w obu państwach podatku dochodowego i podatku od kapitału (na wzór Zurychskiego kantonu), na zasadzie których dałyby się dopiero obliczyć i porównać prawdziwa podatkowa siła Cis- i Translitawii. Nie przesądzamy, czy ziści się kiedy to nasze pobożne życzenie. Nie ulega wszakże wątpliwości, że poważne widoki na urzeczywistnienie będzie ono miało dopiero wtedy, gdy znikną społeczne podstawy germanizacyi i madiaryzacyi, gdy wysuną się na pierwszy plan dziejowego pochodu nowe elementy, rzeczniki nowej kultury, umiejącej szanować swobodę jednostki i koordynować, nie zaś subordynować jej interesy z dobrem ogółu. Pytanie tylko, czy będzie wtedy jeszcze istniała kwestya „ugody"? Dziś wszakże jest ona jeszcze na porządku dziennym, a wraz z nią i sprawa austro-węgierskiego banku.

Szósty to już raz od chwili jego założenia w 1817. r. ustawa jego podlega gruntownej rewizyi. Przez przeciąg tego czasu prawa i przywileje jego rozszerzały się i zwężały, przechodził on przez ciężkie kryzysy i okresy rozkwitu, zmienił nawet swą oficyalną nazwę z „banku narodowego" na „austro-węgierski bank" — wciąż jednak pozostawał instytucyą na wskróś prywatną. Wpływ rządu ograniczał się jedynie do prawa przedstawiania kandydatów na wicedyrektorów, których zatwierdzało walne zgromadzenie akcyonaryuszów. Oczywista, iż w podobnych warunkach nadzorcza rola państwa sprowadzoną była do minimum. Czy zgadzało się to z interesami gospodarstwa narodowego? — można bardzo a bardzo wątpić. Nie da się bowiem zaprzeczyć, że centralna instytucya kredytowa, regulująca w znacznym stopniu obieg kapitałów krajowych i stopę procentową, wywierająca zatem potężny wpływ na całe ekonomiczne życie narodu, posiadająca przytem monopol emisyi banknotów, a więc spełniająca jednę z podstawowych funkcyj państwa, nie może najdować się w wyłącznem rozporządzeniu prywatnych kapitalistów,

dla których chwilowy finansowy zysk będzie zawsze ważniejszym od względów publicznego dobra. Lecz i wyłącznie państwowy bank (w rodzaju rosyjskiego) nie jest nazbyt pożądanym. Zachodzi bowiem wtedy poważna obawa, stwierdzona licznymi historycznymi przykładami, by rząd nie poświęcał interesów gospodarczych i nie narażał zbytnio bytu samego banku dla czysto politycznych względów, nie mających najczęściej nic wspólnego z ekonomicznemi tendencyami narodu. Należy się przytem jeszcze rachować z przykrą ewentualnością, iż w razie przegranej wojny cały majątek banku stałby się łupem zwycięzkiego nieprzyjaciela, skądby wynikły niezliczone szkody dla całego narodu. Twórcy niemieckiego banku państwa starali się usunąć złe strony obydwóch systemów, oddając akcyjny kapitał w wyłączną administracyą rządowych organów, motywując swe postanowienie uwagą, że rząd będzie z cudzem dobrem obchodził się oględniej, niż z własnem. Nie odmawiamy dowodzeniu temu wszelkiej racyi, musimy jednak zaznaczyć, że gwarancye, które daje swym akcyonaryuszom ustawa niemieckiego banku państwa, są jedynie natury moralnej, że więc istnieje wciąż nieskrępowana żadnemi prawnemi szrankami możliwość sprzeniewierzenia się ich interesom i zbyt ryzykownego uniesienia się na falach polityki chwili bieżącej. Niemiecki rząd nie dał dotychczas co prawda powodu do podobnych obaw, lecz doświadczenie na nim zrobione może co najwyżej chlubnie świadczyć o jego oględności, a nie o słuszności samej zasady. To też wypracowany przez konferencyą austryackich i węgierskich ministrów projekt ukonstytuowania zarządu banku z przedstawicieli rządu i akcyonaryuszów pospołu z nieznaczną liczebną przewagą pierwszych i ograniczeniem działalności wydziału przez ogólną dyrektywę walnego zgromadzenia — wydaje się nam ze wszech miar zasługującym na uznanie. Jeśli wejdzie on w życie, Austo-Węgry otrzymają bank, przewyższający swą organizacyą wszelkie dotychczas nam znane. Jak jednak donoszą oficyalne sprawozdania z toczonych obecnie układów, projekt rządowy spotkał się z silną opozycyą dyrektorów austro-węgierskiego banku, a ministrowie skłonni są do ustępstw. Trudno się im dziwić. Genezą bowiem ich projektu nie było przeświadczenie o wadliwości dotychczasowego systemu, któreby zmusiło ich do szukania nowych dróg, lecz żądanie Węgrów, równego z Austryą wpływu na sprawy bankowe, a więc znów partykularny interes, nader oddalony od względów na wymagania całego gospodarczego organizmu zjednoczonych państw.

DR. S. GR—SKI.

Z ULICY.

Odpowiedź Adamowi Asnykowi na jego wiersz „W loży“ pomieszczony w Nrze 80. „Nowej Reformy“.

Socyalistyczny trybun Pankracy,
Co w karczmie stały ma pobyt,
Uczy, że jeśli mniej będzie pracy,
To większy będzie dobrobyt.
Asnyk: „W loży“.

Tak, ty się na nas patrzysz zdaleka
I, siedząc w oknie jak w loży,
Chłodno z tragedyi szydzisz człowieka,
Poeta, śpiewak, ptak boży!

Czasem znużone oczy przymykasz
Jak Piłat umywszy ręce,
Lecz tam wre znowu... Patrzysz i sykasz
W pesymistycznej piosence.

Ach, tam wre ciągle!... Wre piekło bytu,
Z starości marzeń cię budzi,
Subtelne ucho pełne skowytu...
Dalibóg, jakże to nudzi!

Świeczka za świeczką gaśnie w twej duszy
A w dole zamęt się sroży...
Zaiste, ile cierpi katuszy
Śpiewak narodu, ptak boży! —

Niegdyś poetów naszych plejada
Znacznie mniej była wybredną,
Któż nie pamięta śpiewu Konrada:
„Ja i mój naród to jedno!“

I dziś, gdy z trudu pobladły czoła,
A w piersiach tchu ledwo stanie,
Lud z dawnym wieszczem ku loży woła:
„Nie znałeś litości panie!“ —

Wysoko w loży dumasz o świecie
Okryty sztuki mgławicą,
Lub w brylantowej rymów karecie
Przejedziesz czasem ulicą.

Lecz dla poety w ulicy tłumno...
Powozik zwróć do Wawelu,
Jedź nad Adama podumać trumną,
Który.. wiesz.. kochał tak wielu!...

Po orlich wzlotach, po życia wojnie,
Nie dbając, gdzie głowę złoży,
Jak król prostoty legł tu spokojnie
Poeta, śpiewak, ptak boży!

Stajesz śród sklepień... Przez mrok, pustkowie
Z grobów ku tobie zabrzmiało
Jak groźne echo: „Polscy wieszczowie,
„Ach, cóż się dzisiaj z was stało!“

Uciekaj stamtąd! Groby gadają,
U wieżyc słychać krakanie,
Ptactwo wrzaskliwą chichocze zgrają:
„Nie znałeś litości, panie!“

Jedź na sonetu giętkich resorach
I siadaj znów śród twej loży,
Niech myśl po dumań puszcza przestworach
Poeta, śpiewak, ptak boży!

W dole wre życie, zamęt i praca
I szary motłoch się wije;
Próżno twe oko tam się obraca,
Kurzawa boju świat kryje.

Pod tą kurzawą ciągną miliony,
Miliony narodu twego,
Mijają lożę... Twój wrok zamglony
Jeszcze nie widzi niczego...

Żądają tylko chleba i duszy!
Wrzask bije w okna z ulicy...
Nerwowym ruchem zatykasz uszy,
Fe, oni wrzeszczą, jak dzicy!

Suną szeregi, wstaje kurzawa,
Padasz na twoje posłanie,
Ale przez okna uderza wrzawa:
„Nie znałeś litości, panie!“

Wracasz do okna... Rosną szeregi
I krwawy sztandar powiewa.
Kto wiedzie tłumy? Miasto po brzegi
Świat jakiś nowy zalewa!

Czy młody naród z polskich popiołów
Jak Feniks nagle powstaje,
Tu.. w cichem mieście... mieście kościołów??
Któż umiał zebrać tę zgrają??...

Znowu kurzawa lożę zakrywa
I nic nie widać w natłoku.
Zamykaj okna!... Skroń twoja siwa
I mgła starości na oku!

Chłodne twe serce, martwa już ręka
Nie spocznie na piersi tłumu,
Och, nie dla ciebie to, co tłum nęka,
I nie dla twego rozumu!

Nie będziesz śpiewał naszych nadziei,
Ni mąk, ni ofiar, ni bojów,
Nie będziesz wieszczem naszej idei,
Boś naszych nie przelał znojów!

Nie wiesz, co krzepi dusze prostacze,
Ty tylko drwisz jak szyderca,
Nad twą mogiłą lud nie zapłacze,
Boś nie miał dla niego serca!

Twe ślepe oko jutra nie bada,
Jak puszczyk witasz zaranie,
Nie biły w tobie ognie Konrada,
Nie znałeś litości, panie! — —

ANDRZEJ NIEMOJEWSKI.

PROLETARYAT ULICZNY
I JEGO POEZYA MIŁOSNA.

T'es dans la ru' va, t'es chez toi...
Aristide Bruant.

I.

Metoda materyalistycznego badania, uznana dzisiaj ogólnie, czyni tu naszym najpierwszym zadaniem określenie proletaryatu ulicznego (lumpenproletaryatu) jako klasy, czyli wyznaczenie i opisanie gruntu ekonomicznego, na którym stoi ta część społeczeństwa. Gdy odpowiemy na pytanie, jaką spełnia ona funkcyą w ogólnym procesie produkcyi, dopiero zdobędziemy klucz do zagadki: jakie jej członkowie mogą posiadać potrzeby w różnych dziedzinach i w jaki sposób je mogą zaspakajać?

W ogóle rzeczy biorąc, przez nazwę proletaryatu ulicznego rozumiemy warstwę nie mającą w danej epoce żadnego stałego i określonego zadania wytwórczego lub z wytwarzaniem związanego (jak administracya i opieka nad wytworami lub umysłowa piecza nad systemem). Proletaryat uliczny zawsze złożony jest z ludzi, którzy sami lub których przodkowie zajmowali pewne organiczne stanowisko w życiu społeczeństwa, lecz z biegiem rozwoju środ-

ków produkcyi, gdy ich funkcya stała się zbyteczną, wyparci zostali po za ramy podzielonej pracy społecznej; jest ona zawsze niejako ekskrementem społeczeństwa. Łączą ją z całością społeczną więzy natury w części przypadkowo produkcyjnej, w części już jedynie tradycyjnej, które są za słabe. aby proletaryat uliczny nie stawał się prawdziwym pasożytem. Sam on nie wie, gdzie się ma podzieć i co z sobą zrobić, a teoretycy dobrobytu społecznego zwykle sobie tym klinem doszczętnie zagważdżają głowy. Proletaryat uliczny zjawia się zawsze, ilekroć zachodzą w sposobach wytwarzania głębsze zmiany, wyciągające pewnej klasie z pod nóg jej dotychczasowy punkt oparcia: wołał on o chleb i igrzyska, gdy wojny rzymskie wywłaszczyły drobnych ziemian i skoncentrowały w rękach optymatów rosnące wciąż majętności; jako włóczęga i błędny rycerz ściągał na swe czoło rozpalone żelazo stróżów osiadłości, gdy „owce pożarły ludzi“ na żyznych pastwiskach Anglii; obecnie gnieździ się plugawą masą wśród przepychu i więzień wielkich miast przemysłowych, gdy praca uzdolnionych rąk ludzkich ustępuje wszędzie przed ścisłą potęgą konia parowego.

W każdym z wymienionych wypadków główną i ogólną cechą proletaryatu ulicznego jest brak określonej funkcyi wytwórczej. Jako zbyteczny przy wytwarzaniu, nie zdobywa on sobie w oczach klasy rządzącej podziałem bogactw żadnego prawa do spożywania, i przez to samo już egzystencya jego staje się niejako nielegalną. Potrzeby swe choćby najbardziej zredukowane, niemniej jednak żywe zaspakajać on może jedynie w sposób już w samej zasadzie niezatwierdzalny przez panujące obyczaje. Z góry życie jego skazane jest na nienormalność, na występność.

Obok jednak tej ogólnej ujemnej charakterystyki posiada warstwa ta w każdym swym historycznym występie cechy pozytywne, za każdym razem zupełnie odmienne. Wynikają one z dwóch źródeł: z klasowej genealogii proletaryuszy ulicznych, liczących między swymi antenatami już to rzymskich obywateli, już też pańszczyźnianych chłopów lub wojowników z książęcych drużyn, wreszcie samodzielnych rzemieślników lub niedoszłych artystów i literatów; i ze szczególnego stosunku. w jakim panujące ukształtowanie gospodarcze stawia proletaryat uliczny do sumy bogactwa społecznego i do innych klas.

Nas zajmuje w tej chwili jedynie proletaryat uliczny nowożytny, wytworzony w w. XIX. przez postęp techniki maszynowej. Zadaniem naszem jest wykazanie, iż istnieje obecnie zastęp ludzi, całkiem zbytecznych dla wytwarzania; zbadanie, z jakich klas zastęp ten się rekrutuje; dopatrzenie, w jaki sposób zaspakaja on swe potrzeby. Dodam, że w dziedzinie faktów nie wyjdziemy za granice Francyi.

Ogólny mechanizm wytwarzania się t. zw. armii rezerwowej przemysłu zbyt jest znany, żebyśmy się nad nim dłużej zatrzymywać mieli. Przypominamy go w paru zdaniach: W celu zwiększenia ilości produktów zjawiają się w przemyśle maszyny, z których każda w danym przeciągu czasu wytwarza tyleż, co kilku lub kilkunastu

ludzi. Z początku zwiększa się tylko ilość towarów; lecz gdy taniość produktów mechanicznych zmusza indywidualnych konkurentów-przemysłowców do powszechnych i szybkich ulepszeń mechanicznych, wtedy wobec małych środków kupnych większości społeczeństwa, podaż przewyższa popyt na towary zarówno w pewnych odstępach czasu gwałtownie i ostro, jak chronicznie, a więc względnie łagodnie; stąd pewna ilość ludzi znajduje się bez pracy, zwiększając się w chwilach kryzysu, lecz nigdy nie znikając zupełnie.

Niepodobna mi również tutaj otwierać wielkiego nawiasu, aby dowieść, iż wielki mechaniczny przemysł nieustannie rozwija się we Francyi i uzbytecznia co chwila nową garść producentów.

Zarówno drobny rzemieśnik lub handlarz, którzy naraz znajdują rynek zbytu zamknięty dla siebie przez wielki kapitał i przez czas dłuższy lub krótszy nie wiedzą, co z sobą począć, — jak wielkoprzemysłowy najemnik, usuwany co chwila z fabryki na dłużej lub krócej przez jakieś nowe ulepszenie techniczne lub przez ostry symptom nadprodukcyi, znajdują się w nieuniknionem zetknięciu ze stanem ekonomicznej zbyteczności lub conajmniej ekonomicznego zawieszenia, cechującym proletaryackie położenie klasowe. Uzasadnionem zupełnie, choć niemożebnem do udowodnienia ścisłego jest twierdzenie, że niejeden i niejedna ze współczesnych pracujących lub próżnujących robotników posiadał rodziców, dziadków, a może i pradziadków, co już wahali się między ustaleniem, a wykolejeniem, — jakkolwiek niejeden również może być wykolejonym w pierwszem pokoleniu.

Proletaryat uliczny jest z natury rzeczy klasą o granicach i składzie ruchomych i jako nieoparty na żadnej funkcyi wytwórczej jest on, powtarzamy, nielegalny, nieuznany, a czyny, wynikające z należenia doń, noszą zwykle miano występków lub zbrodni. Dlatego jedynie niewielki jego ośrodek: prostytucya (sutenerstwo) jest stałą kategoryą społeczną. Obok niego grupują się warstwy ruchome, złożone z oporniejszych lub mniej dotkniętych członków klas, tracących grunt pod nogami. Fakt, że należenie ich do proletaryatu ulicznego jest chwilowe lub peryodyczne, nie może ich uratować od częściowego przystosowywania się do wymagań tej formy życia. Obyczaje i idee wynikające z niej, a najczyściej widoczne wśród stałego ośrodka ludzi, żyjących z dochodów miłosnych, przenikają do społeczeństwa, wtrącają swe słówko do ogólnej działalności uczuciowej i myślowej danej epoki. W ten sposób proletaryat uliczny zawodowy i ruchomy zdobywa sobie w chwili najnowszej stałe istnienie, występować zaczyna jako stała kategorya społeczna, jako określona klasa. [1])

---

[1]) Naturalnie klasą ta niema nic wspólnego prócz wyżej wytłomaczonej chwiejności granic z wymyśloną przez monachijskiego profesora p. Brentano „piątą klasą“ wyrobników rzekomo antagonistyczną wobec właściwego proletaryatu względnie ustalonego i zdolnego do organizacyi.

II.

Systemem zaspakajania potrzeb w klasach: chłopskiej, rzemieślniczej i drobnokupieckiej, z których wyszedł proletaryat, było i jest jeszcze życie rodzinne, oparte na wewnętrznym podziale pracy między mężczyzną i kobietą. Niema już prawie nigdzie mowy o właściwym zaspakajaniu wszystkich potrzeb wewnątrz rodziny produktami pracy jej członków wyłącznie, niemniej jednak osią w tej czynności pozostaje ognisko rodzinne, do którego przypływa z jednej strony owoc pracy mężczyzny, a później i kobiety w postaci zarobku pieniężnego, z drugiej — nabyta zań ta część potrzebnych produktów, którą w domu wytwarzać przestano. Do tego gruntu zastosowują się wszystkie inne pochodne strony żywota.

Wielka produkcya mechaniczna i wielki handel, wytwarzające ludność najemną męską, żeńską i dziecinną, rozparła, jak wiadomo, ciasne i nieruchome ramy życia rodzinnego i uniemożliwiła dawny sposób zaspakajania potrzeb. Rozstrój rodziny wśród ludności miejskiej jest obecnie zjawiskiem do tego stopnia powszechnie uznanem, że go zupełnie dowodzić nie potrzeba i od lat kilkudziesięciu opłakują go zwolennicy porządku społecznego. Nie wszędzie jednak i nie zawsze jest on jednakowy i jednakie może wzbudzać uczucia.

Pozytywnie rzeczy biorąc, maszyna stosownie do swych własności produkcyjnych wytwarza w koło siebie nową klasę: p r o l e t a r y a t, której gruntem ekonomicznym jest posiadanie t y l k o rąk do pracy i oddawanie swej siły roboczej za równoznacznik pieniężny wynajmującemu przedsiębiorcy, właścicielowi narzędzi pracy. Obok proletaryatu dopiero zjawia się produkt negatywny, wytwór rozkładu nieprzystosowany do innowacyi, t. zw lumpenproletaryat czyli „proletaryat uliczny“. Rozstrój rodziny jest nieunikniony jak w jednym, tak w drugim, ale różnemi tu i tam idzie torami.

Określona ekonomicznie i względnie stała pozycya proletaryatu pozwala zmianom w systemie zaspakajania potrzeb natychmiast całkować się w nowe określone systemy, które, rosnąc ciągle w miarę postępu przyczyny zmian, wyłaniają się jako instytucye o charakterze współdzielczym. Czy rodzą się one z inicyatywy przedsiębiorców, czy samych robotników, czy są środkiem przystosowywania ludności najemnej do tego sposobu życia z góry, czy objawem własnego jej doń przystosowywania się, — dość, że powstają familistery, domy wychowawcze, schronienia dla starców i inwalidów, stowarzyszenia spożywcze etc. etc. Bogobojni indywidualiści i z tego nie są zadowoleni; wolą jednak, że, jak mówi Simon, „robotnicze dziecko w kołysce idzie do żłobka, robotnik dojrzały do fabryki, a robotnik starzec lub chory do schroniska“, niż żeby po utracie ogniska domowego miał przed sobą tylko — ulicę.

A taką właśnie jest sytuacya proletaryatu ulicznego. To też życie tej warstwy, koncentrującej na swej skórze niemal cały trąd współczesnego społeczeństwa, w pełni sprawdza potężnie pesymi-

styczny aforyzm wypowiedziany niegdyś przez św. Augustyna o całym rodzie ludzkim: „*Genitus per immunditiam, vivens in miseria, moriturus in angustia*“.[1])

Przypatrzmy się, w jaki mianowicie sposób odbywa się tu zaspakajanie potrzeb, dawniej streszczone w życiu rodzinnem. Kto czytał opartą na sumiennych studyach powieść Zoli „*Assommoir*“ temu w żywych barwach, w wypuklejszych kształtach ukażą się fakty, sprowadzające i otaczające stopniowy upadek rodzin w rodzaju Coupeau, tem łatwiej zrozumie materyalne i moralne przekształcenia, o których mówić będziemy. My opierać się będziemy przeważnie na pracach Juliusza Simona „*L'ouvrière*“ (Robotnica) i hr. Othenin d'Haussonville p. t. „*L'enfance à Paris*“ (Dzieci w Paryżu) (r. 1879) i „*Misére et remedes*“ *(1886)* (Nędza i środki zaradcze). Więc przedewszystkiem, jakiemi środkami zaspakajana jest potrzeba posiadania dachu nad głową i towarzystwa ludzi, podzielających nasze uczucia; potrzeba, z której wypłynęła cała poetyczna aureola, opromieniająca niegdyś ognisko rodzinne? O mieszkaniach robotniczych niema się co rozpisywać. Zbyt są znane obrazy łoża małżeńskiego, do którego kładzie się mąż akurat wtedy, gdy żona zeń powstaje, w którem u nóg rodzica śpi kilkoro obdartych piskląt; od czasów Blanquiego, który opisał piwnice Lille'u, mieszczące po kilka rodzin obcych sobie zupełnie na przestrzeni kilkunastu metrów powierzchni, poświęcono tej wiecznej kwesyi stosy bibuły, i kto ciekaw, znajdzie w rozdz. IV. (str. 154—188) Simona rzeczy wprost bajeczne. Jednym z pierwszych objawów rozkładu rodziny niezależnej jest natłoczenie razem kilku rodzin w pomięszaniu płci i wieków, wynikające z szybkiego zaludnienia wielkich miast. Najczęstszym i najcharakterystyczniejszym typem mieszkań ludności robotniczej pozostawionej biegowi losu są za Simona (niejedno zostało bez zmiany od czasu jego badań) labirynty uliczek wąskich czasem do tego stopnia, iż trzeba iść przez nie gęsiego, gęsto zabudowanych domami, które cuchną od nieczystości. Labirynty te nosiły w Lille nazwę „*couretes*“, w Roubaix — „*forts*“, w Saint Quentin — „*couvents*“.

O proletaryacie pracującym kierownicy społeczeństwa myślą, aby miał gdzie głowę przytulić, i ci lub owi w różne sposoby tę kwestyą rozwiązują. Dollfusowie *et consortes* budują mu domki malhuskie, Godinowie całe gmachy[2]), inni podają projekty z charakterem kollektywnym[3]); jednem słowem udatnie lub niezgrabnie rozwiązują węzeł. Tymczasem proletaryat uliczny nie ma żadnej drogi do wyjścia z dusznego cmentarzyska rodziny i albo trzyma się bezmyślnie dawnej formy życia rodzinnego, cierpiąc wśród jej załamywania się, albo zupełnie porzuca wszelki określony system i błąka się z ulicy na ulicę.

---

[1]) „Urodzony w nieczystości, żyjący nędznie, umrze w utrapieniu.“

[2]) Familister w Guise.

[3]) Maurycy Charnay: „Mieszkanie za darmo“.

Istnieją naprzykład w XIII. okręgu Paryża w pobliżu szpitala Salpetrière ogromne zabudowania, wzniesione przez pewną kompanią ochrzczone na „*cité Jeanne d'Arc*“ i mieszczące kilkadziesiąt pojedynczych mieszkań robotniczych [1]). Nibyto każda rodzina ma swój kąt, lecz wszyscy przez cienkie przepierzenia słyszą nazwajem swe kłótnie, o zachowaniu całości grupy rodzinnej mie ma mowy. Każdy łączy się z sobie podobnymi: mężczyźni razem „próżnują“ (aby przetłomaczyć na polski wyraz „*flâener*“ próżnować) i hulają; gospodynie jeśli zostają w domu, ujadają się z sobą przez dzień cały; dzieciaki całemi gromadami snują się po schodach, podwórcu, i ulicy, zarażając się nawzajem zepsuciem i chorobami. Niewielkie stosunkowo komorne zalega bezustanku; właściciel opuścił ręce i przestał dbać o utrzymanie domu, stąd wszędzie brud nieprzebrany, czyniący dla robotnika dom własny nieponętnym.

I ten cień nawet własnego ogniska znika u mieszkańców „*cité Doré*“ lub „*cité des Khroumirs*“ (obie w XIII okręgu) „*cité de Femme en culote*“ (pod miastem, za północno-zachodnimi fortyfikacyami). Są to przytułki gałganiarzy i ostatecznych nędzarzy. Gałganiarze zarabiają czasem do 3 i 4 złr. dziennie; rekrutują się z odpadków wszelkich zawodów. Jedno z tych obozowisk składa się z alei chałup otoczonych śmietnikami, po których chodziła dawniej właścicielka gruntu, dawna śmieciarka, nie wiadomo czemu po męsku ubrana, i zbierała komorne. Drugie, nazwane podczas którejś ekspedycyi kolonialnej od imienia dzikiego ludu [2]), zarówno jak trzecie, składają się z istnych chlewów, wzniesionych na prędce na wolnych terenach, gdzie dzieci śpią na kupach łachmanów i brudu, gdzie Haussonville [3]) widział starą kobietę skrobiącą mięso ze starej śmietnikowej kości na skórkę zczerniałego chleba, i — wśród wielkiego nowożytnego miasta o skomplikowanej administracyi — parę starców, nie mającą żadnego innego mieszkania prócz budy na kołach, koczującej z jednej *cité* do drugiej.

Jeśli się wzniesiemy do wyższych sfer proletaryatu ulicznego zachowujących potrzebne dla procederu *decorum*, to znajdziemy się w „*garnis*“, hotelach meblowanych, których jest w Paryżu 10 tysięcy, a których czwarta i piąta kategorya pod szumnymi szyldami w rodzaju „*Matelas épatant*“ mieści tłumy ludności koczowniczej. Robotnik z rodziną tylko w ostateczności idzie do „*garni*“; to też ci, co się tam znajdą, wpadają w najżywszy wir życia lumpenproletaryackiego.

Gdy spracowany rzemieślnik lub chłop zgromadza wieczorem koło wspólnego stołu całą rodzinę i czasem paru znajomych; gdy robotnik z rzemieślniczemi upodobaniami śpieszy na wieczerzę do domu, gdzie go czeka już dość spracowana i skwaszona żona z dziećmi, a ulegający wpływom kolektywizmu (nieznaczna jeszcze mniejszość) zaczyna znajdować upodobanie w czytelni lub ogólnej sali

---

[1]) „*Mizère et remèdes*“ r. IV.
[2]) *Cité des Khroumirs* została parę lat temu zniesiona przez miasto.
[3]) *Misére et remèdes* r. III.

zabaw, — gdzież zaspokoi popęd towarzyski proletaryusz uliczny, mieszkający, jak wyżej opisano? Już dzieckiem, nie mogąc znieść kijów zirytowanych rodziców i braków domowej kuchni i sypialni, puszcza on się na włóczęgę po ulicach i bulwarach stolicy. Snuje się z rogu na róg, od wystawy do wystawy; zapalony pożądaniem zaprawia się indywidualnie lub częściej zbiorowo do rabunku i kradzieży. Autorowie, piszący o włóczęgostwie dzieci młodszych nad lat 16, podają ich stałą liczbę w Paryżu na 10 tysięcy. Ponieważ za włóczęgę biorą je do kozy, a sędziowie często za pierwszym razem nie mają odwagi skazywać dzieciaka na więzienie, więc mnóstwo, nie powracając do domów, poprostu waha się wciąż między wolnością na ulicy i zamknięciem w kozie. W r. 1877. na 1716 aresztowanych dzieci, 206 siedziało już poprzednio najmniej 3 razy w areszcie policyjnym: wszystkie przed 16 rokiem życia, kiedy kończy się kryminalna małoletność. [1])

Namiętność do włóczenia się wsiąka w krew i kości proletaryatu ulicznego i usiedzieć mu na miejscu nie pozwala. Często kilku robotników nawet mających pracę, naraz puszcza się na kilkodniową wedrówkę, z której powracają do domu bez grosza i pijani jak bela [2]). Noce całe przepędzają oni zdala od żony i dzieci na t. zw. balach. Te sale balowe — to oś życia proletaryatu ulicznego, który jest niezmiernie towarzyski. Słyną one pod różnemi nazwami: bal du Vieux-Chêne przy ulicy Mouffetard, bal Emile nad kanałem św. Marcina, bale: de la Guillotine, du Mars, du Progrés etc. Za kilka do kilkudziesięciu centymów ma się tam towarzystwo, taniec, nieraz miłość, ochłodę lub rozgrzanie. Najniższa część nędzarzy spędza noce w norach wprost już zbójeckich, wymagających osobnego opisu [3]), jakiemi są np. Château-Rouge lub chez Père Lunette, położone tuż obok pięknego bulwaru St. Germain. Do tych samych sal i knajp ciągnie pociąg nieprzeparty dojrzewające córki upadłych rodziców.

Niezmiernie ściśle związane z włóczęgostwem i balami jest pijaństwo: „Marchand de vin“, właściciel „winiarni“, odgrywający ważną rolę w życiu proletaryatu, jako doradca, u którego zapadają ważne decyzye, zmienia się w życiu proletaryatu ulicznego w t. zw. „mastroquet“ lub wprost „troquet“, szynkarza podłego gatunku, ojca Colombe'a Zoli, który z wyrachowaniem upaja słabych i demoralizuje opornych. Wpływ tych upajaczy, zbierających ogromne sumy, szczególniej w dniu wypłaty, datuje się już oddawna. Przed drugiem cesarstwem w Amiens wypijano 80.000 kieliszków wódki dziennie; była ona wówczas tańsza niż obecnie, więc suma, wydawana na nią codzień przeważnie przez ludność robotniczą wynosiła 4.000 fr. czyli wartość 3.500 kilo mięsa lub 12.121 kilo chleba.

---

[1]) „L'enfance à Paris“ r. XII.

[2]) Francuz powiada: „Jak Polak“. Rrzecz ciekawa, że we Francyi jedynem porównaniem jest: „ivre, comme un polonais“. Chyba opinią szlachty przeniesiono na cały naród!

[3]) P. np. pamiętniki policyanta Rossignola.

W Lille było 25% nieuleczalnych pijaków między mężczyznami, 12% pijaczek między kobietami. W Rouen upijano się specyalnie wódką zbożową, zaprawioną palącemi substancyami; zwano „la cruelle“ to jedno więcej wcielenie desperackiej gorzałki: „gor'koj“ [1]) etc. Według Poulata, do którego powrócimy jeszcze, w r. 1869 było między robotnikami paryskimi zaledwie 10% takich, co się nigdy nie upijali. Jeśli zważymy, że wszelkie napoje sprzedawane przez „marszandewenów“ zawierają notorycznie zawsze pewien procent alkoholu metylicznego (fusel), substancyi bardzo niezdrowej, to przyznamy, że alkoholizm miał czas zakazić krew całej niemal ludności miejskiej i kto wie, czyby nie dały odnaleźć się fakty podobne do skonstantowanych w r. 1834 przez ankietęangielską (zeznanie Marc Moore'a), a mianowicie, gdy matki-robotnice przestawały zapijać się dżinem, to dzieci nie chciały ssać ich oczyszczonej piersi, bo przystosowały się do alkoholu. Absynt, tak rozpowszechniony we Francyi, nie jest lepszym, a skutki tego wszystkiego widać na przedwcześnie starych twarzach dzieci paryskiego ludu, na samobójstwach, zabójstwach i białych gorączkach. Sytuacya się nie polepsza: do dziś dnia stoją w czysto robotniczej dzielnicy Belleville (jeszcze w r. 1825. śliczna wioska podmiejska) domy, których dzierżawcy są zarazem szynkarzami i za niewielką opłatą, uiszczaną tygodniowo z góry, przyjmują lokatorów, lecz trzeźwych, jak tylko mogą, usuwają precz, aby nie psuli ogółu [2]).

Brak znośnego mieszkania, mania koczownicza i alkoholizm są czynnikami niezmiernie rozkładowymi dla rodziny, która też uruchomia się i dezintegruje niepowstrzymanym pędem. Od dawna już w Alzacyi życie „na wiarę“ nosiło nazwę „parisieren“; liczba dzieci nieprawych w Paryżu wynosi obecnie mniej więcej 15.000, a z tych około 11.000 nie zostaje później przez rodziców uznane [3]). Niedostateczność płacy i brak mieszkania występuje jako czynnik tam, gdzie jak w północno wschodnich przemysłowych centrach dziewczyna, opuszczona przez jednego kochanka, spieszy jaknajprędzej „skleić się“ (pożycie takie nazywa się „collage“) z innym, bo nie ma własnego mieszkania [4]). Mężowie, parci pragnieniem wędrówki, często opuszczają żony, szczególniej po urodzeniu dziecka i przez lat parę żyją w innych miastach z innemi kobietami, aby później wrócić znów na czas jakiś. Według wyliczeń dwóch urzędników policyi (Trébucheta i Poirat-Duvah) z r. 1857. największej stosunkowo liczby prostytutek dostarczały „kobiety bez zajęcia“, czyli takie, co za młodu opuściły dom rodziców i „pracowały“ same na siebie; po nich następuje kategorya również koczownicza służących, z których 82 na 1000 kończyły na nierządzie. Nierząd szerzy się w pełni między dziećmi: w r. 1877. na 2582 kobiet aresztowanych za potajemną prostytucyą, było przeszło 1500

---

[1]) „L'ouvriere“ str. 136.
[2]) „Misère et remèdes“ r. III.
[3]) „L'enfance à Paris“ r. XII.
[4]) „L'ouvrière“ str. 149.

małoletnich, najwięcej od lat 15 do 18, lecz były i 13-to-letnie [1]). Według Villermégo już w r. 1825. oddawały się dziewczęta 12-to-letnie [2]).

Na tem podścielisku materyalnem jakaż wyrasta ogólna psychika? W jaki sposób odbywa się przystosowanie różnych stron ducha do tych warunków bytu? Pytaniem tem dotychczas systematycznie bardzo mało się zajmowano. Oprócz powieści, jak „Assomoir“ i „Germinal“, istnieje w tym kierunku jedna dość ciekawa próba: dziełko Poulata „Le Sublime on le travailleur en 1870“ [3]). Dyonizy Poulat był przez długi czas prostym robotnikiem i majstrem w fabrykach mechanicznych paryskich; zdolny samouk dostał za Grévy'ego urząd mera XI. okręgu. Objął on swemi badaniami wszystkich mechaników i kowali — siódmą część ludności robotniczej paryskiej — i podzielił ich na dwie kategorye główne: właściwych robotników i „sublimes“ [4]). Pierwsi — to ci, co więcej pracują niż piją; drudzy — przeciwnie. Pierwszych jest 40%, drugich 60%. Zastrzegając, że autor, robotnik-karyerowicz, posiada swe subjektywne, w znacznym stopniu drobnomieszczańskie zasady klasyfikacyi, przytoczymy w krótkości jego charakterystyki ośmiu typów proletaryackich Paryża.

Pierwszy — l'ouvrier vrai robotnik prawdziwy (10%) — jest pracowity, trzeźwy, oszczędny, czysty i praktyczny; nie ma długów, pilnuje domu i rodziny; dąży do awansu na drabinie społecznej, dużo czyta i posiada republikańskie przekonania, które pozwalają mu, a przynajmniej najszczęśliwszym w tej kategoryi, zostać nie tylko merem, jak p. Poulat, ale ministrem handlu, jak p. Mesureur, lub nawet, jak garbarz Feliks Faure, prezydentem rzeczypospolitej. Drugi — l'ouvrier (robotnik, 15%) — już ma żyłkę próżniaczą; czasami pije trochę i sprzecza się z żoną; robi małe długi, lecz zbiera na komorne co kwartał; żyje czasem z kochanką, lecz opuszcza ją i żeni się na wsi lub na prowincyi; ciekawy jest zebrań i daje się brać na szumne frazesy. Trzeci — l'ouvrier mixte (robotnik mieszany, 15%) — już poniedziałkuje, pracuje jednak jeszcze ze 300 dni na rok; słaby, ukrywa przed żoną pieniądze, aby je przepić i nie dba o dzieci; jest bardzo czuły i wrażliwy; każdy go bierze na lep.

Dalszem kryteryum jest głównie ilość dni pracy na rok. Typ czwarty — le sublime simple (20%) — pracuje już tylko 300—225 dni, upija się przynajmniej raz na dwa tygodnie, zmienia w ciągu miesiąca 3—5 miejsc; zaczyna być pesymistą, lecz na pozór nic go nie obchodzi; ma wyrzuty sumienia jeszcze, szcze-

---

[1]) „L'enfance à Paris“ r. XV.

[2]) „L'ouvriére“ str. 146. W Londynie, według „Listów z podróży“ Karamzina, już w r. 1790. były 13-to letnie prostytutki zjawiskiem zwykłem.

[3]) Dodam dla ciekawych, że Zola, pisząc „Assomoir“, w znacznym stopniu posiłkował się tą książką.

[4]) Lumpenproletaryusze podobno w przystępach dumy sami sobie tę nazwę nadają.

gólniej gdy jest żonaty i zaczyna instynktownie nienawidzić każdego lepiej ubranego. Le sublime (7%) — to już przypadkowy i peryodyczny sutener, człowiek, co raz przynajmniej miał do czynienia z sądem, lub zdeklasowany; ma wpływ ogromnie rozkładowy. Szósty, le vrai sublime (10%) — nie pracuje wyżej nad dni 170 na rok, jest nałogowym alkoholikiem. chorym gdy nie pije; samochwalca, blagier, arogant, a w gruncie rzeczy tchórz; pozbawiony wszelkich zasad i uczuć rodzinnych; nie sprawia mu różnicy chodzenie w łachmanach.

Zupełnie oddzielnie stoją dwie kategęrye włóczęgów, przejętych ruchliwymi prądami i śmiałemi ideami, szczególniej negacyjnemi; Poulat zalicza je do „wyższych". Pierwsi — les fils de Dieu (?) (16%) pracują 200—260 dni rocznie, wrażliwi i unoszący się, mają pewien zasób inteligencyi i przejmują się planami przyszłości; lecz nie mają kryteryum w życiu dzisiejszem, nie są uczciwi w pracy, żyją z kochankami; noszą się z pewną elegancyą, czytają gazety. Drudzy — les sublimes des sublimes (70%) to nieliczni inteligentni kierownicy, którzy jednak przeczytanymi frazesami sprowadzają słabych robotników II. i III. typu z prostej i uczciwej drogi „praktycznej", a sami są złymi pracownikami.

Pomijając dwa ostatnie typy, w charakterystyce których najwyraźniej odbił się klasowy punkt widzenia Poulata, niechęć dorobkiewicza do agitatorów, trzeba przyznać, że dobrze uwydatnił on stopniowy spadek ze stanu pracującego proletaryatu w stan proletaryatu ulicznego. W dziedzinie ideowej proces rozkładu życia rodzinnego niejednakowo wpływa na kobiety i na mężczyzn. Pierwsze, wciągnięte przez życie rodzinne chłopskie i drobnomieszczańskie w twarde dyscypliny religijne i moralne, pozostają w upadku podawnemu biernemi i zachowują wszelkie nawyknienia i uczucia, które, choć z ich nowem położeniem niezgodne, nie są z niem jednak w codziennej i brutalnej sprzeczności. Wiadomo naprzykład powszechnie, że prostytutki są prawie zawsze bardzo pobożne; Haussonville przytacza jako fakt, że uwięzione w szpitalu dla kobiet wenerycznych św. Łazarza (który jest zarazem więzieniem dla przestępczyń) kobiety upadłe najniżej, zbuntowały się raz i odmówiły pracy, gdy któryś z radców miejskich, radykał, kazał wynieść ze szpitala posąg Matki Boskiej [1]). Co do mężczyzn, to dotykani bezpośrednio, będąc przewodnikami upadku rodziny, zostają oni w nowem życiu czynnymi, wrażliwymi, ruchliwymi i przedsiębiorczymi; lecz przy różnorodności wrażeń ideowych, są one wszystkie niezmiernie płytkie; znajdują się w bezpośredniej zależności od codziennych uczuć. Stosunek ideowy do całego społeczeństwa polega na rodzaju wzgardliwego niezadowolenia, które czynnie przejawia się w brutalnej awanturniczości, podżeganej może przez właściwości rasowe. Funkcya ich wśród objawów niezadowolenia, jest rozkładową, polega np. na bezmyślnem podpalaniu kiosków, a pogląd

[1]) „L'enfance à Paris" r. XV, str. 268.

ich na wszystkich, co nie noszą bluzy, i na kwestyą społeczną streszcza się w dobitnych wierszach ludowego deklamatora:

„. . . Rich's, nobl's et caetera.
I'faut leur'z'y casser la gueule,
Et pis après . . . on partag'ra!"

Bogaci, szlachta et caetera,
Trzeba im rozbić mordy,
A potem — podzielimy się!

K. RADOSŁAWSKI.

(Dokończenie nastąpi)

AUTOBIOGRAFIA MOLESCHOTTA.

Imiona ich przelatywały jak błyskawica z ust do ust doborowej młodzieży. Ich odkrycia elektryzowały młode dusze, ich hasła podawano sobie, jak podają hasło żołnierze w noc przed bitwą, grzejąc członki u rozpalonych ognisk, kiedy wiarus stary o dawnych bojach opowiada, a blaski płomyków igrają na karabinach ustawionych w kozły.

Te hasła naukowe, przyrodnicze były zarazem hasłami walki, nazwiska rzucających je, nazwiskami wodzów. Bo do zapasów z reakcyą, jaka zapanowała. wystąpiły w pierwszej połowie naszego stulecia nietylko myśl polityczna, ale i wiedza. I ona walczyła z zasadą powagi i despotyzmem. Stąd u większości wybitnych przyrodników tej epoki zajęcie się kwestyami społecznemi, skłonność do polemik i popularyzacyi.

Nareszcie po walnej potrzebie otrąbiono zwycięstwo. Generałowie dobrze prowadzili armie. Ale w trudach bojowych osiwiały ich głowy i już po kilkunastu latach wawrzynów były na poduszkach śmiertelnych. Czas, jak winiarz, który obiera dojrzałe grona na winnej latorośli, oddzielił je sierpem od pnia życia. Darwin, Bischoff, Vogt, Moleschott i inni usunęli się.

Że i jak bardzo Moleschott winien być zaliczonym do tej plejady świetnych umysłów prawie jest zbędnem podnosić. On był jednym z założycieli szkoły, nazwanej przez filistrów materyalistyczną, szkoły, która związała twórczość człowieczą z warunkami fizyologicznymi i z której w dalszem następstwie rozwinął się tejże nazwy kierunek w historyi społeczeństw, tyle objaśniający objawów socyologicznych i do tak świetnych rezultatów nieraz doprowadzający. Jako uczony jest Moleschott jednym z największych fizyologów dziewiętnastego wieku, a że zdolności pisarskie miał wybitne, świadczy wielkie rozprzestrzenienie w piśmiennictwach europejskich dzieł: „O biegu życia", „Fizyologia wymiany materyj", „Nauka o pokarmach". Życie jego w ogólności zamyka się w obrazku nakreślonym na wstępie, szczegółów zaś niewymuszenie a serdecznie i z talentem opowiedzianych dostarcza wydana po śmierci autobiografia.[1])

---

[1]) „Für meine Freunde". (Dla mych przyjaciół). Giessen 1895.

Urodził się w Hertogenbusch w Holandyi w 1822. roku. Rodzice stracili przedtem dwoje dzieci, stąd może jeszcze większą pieczołowitością otoczyli syna. „Wszystkie drobne postępy, jakie robiłem dzieckiem, pamiętam szczególnie z powodu radości, którą wypełniły serce rodziców. Jakiż szczęśliwy był ojciec, gdy cztery lata mając, czytałem płynnie po holendersku, a jak to oboje z matusią zawzięcie wgłębialiśmy się w pierwsze wypracowania pisemne“...

Wnet potem urodził się braciszek Fryderyk i obydwom rodzice choć mocno zajęci (ojciec miał rozległą praktykę lekarską) dali dobre wychowanie. Przy domu znajdował się ogródek, w połowie lutego kwitł tam już pomarańczowy krokosz, a w cieplarni otwierały swe kwiaty kamelie i azalie. Wiosną konwalijki dzwoniły główkami, pachł bez krzaczysty, latem grusze kołysały się na gałęziach i piął się po murze winograd. Na pobycie w ogródku ograniczało się obcowanie dzieci z przyrodą, bo rodzice rzadko kiedy mieli czas na spacer, a z sąsiedztwem żyło się mało.

Lecz dla dziecka podobna przestrzeń może stać się światem. A strumyki uczucia wnosiły w serce prócz słów rodzicielskich dobre książki, bajki holenderskiego poety Alphena i wydana w szóstym roku republiki francuska książeczka: „Moralność dzieciństwa“. Na jej wstępie wydrukowane były prawa człowieka, dalsze zaś stronice „przygotowywały do zmiennych kolei życia i kazały szukać pociechy nie w zewnętrznych nagrodach, ale w śmiałem ufaniu sobie i w własnej samowiedzy“.

„Czas róż“ jak nazywa Moleschott szczęśliwe lata trwał u niego długo, niemal przez całe życie. Czasami tylko powiewał chłodniejszy wiatr. Takim momentem ziębnięcia był jego pobyt w zakładzie chłopców w Boxtel. Rodzice oddali synów, tusząc, że więcej im tam poświęci się uwagi, niż w domu. Lecz po części zawiedli się. Może i nie źle uczono — Moleschott w ciągu swego dzieła jednem złem słówkiem nikogo nie wspomina — ale dawano jeść, jak w większości zakładów. Smażono na łoju i chłopaki codzień prawie zgarniali w papierki obrzydliwy tłuszcz. który miał być przez konsumujących skrupulatnie spożyty. Zabaw żadnych: „piekliśmy jabłka, albo zapalali u gorącego pieca siarczane zapałki i zachwycali się błękitną barwą. Czasem w arbuzie wycinaliśmy oczy, nos i usta i wetknąwszy do środka gorejącą świecę, kładli go na mur cmentarza, więcej siebie, niż innych strasząc“.

Na szczęście zachorował mały Jakób na odrę, wzięto go do domu i do Boxtel już nie odesłano. Po kilku latach nauki prywatnej wszedł do gimnazyum w Cleve. Tu spotkał dzielnych profesorów, którzy kształcili w nim umysł i uczucie, żona dyrektora gimnazyalnego pani Helmke czytała z nim poetów, a wykaz lektur młodzieńca z tego czasu świadczy o ogromnej rozległości. Poznawał gruntownie literaturę holenderską, niemiecką, angielską i francuską, zdobył tęgie wykształcenie klasyczne, które zawsze uważał za największy dorobek duchowy. Uczył się arabskiego i z panem Helmke czytał w oryginale Hioba.

W dwudziestym roku życia skończył gimnazyum i wstąpił na medycynę w Heidelbergu.

Raz, w Hertogenbuschu jeszcze, pewien wysoki urzędnik zwiedzał szkoły i między innymi egzaminował Jakóba. Dał dobrą odpowiedź, lecz urzędnik inaczej sądził. Jakób stanowczo trwał przy swem zdaniu. Po wyjściu egzaminatora nauczyciel von Bühle poklepał go po ramieniu i rzekł: Dzielnie spisałeś się, dobrze wiedziałeś swoje i dobrześ się bronił.

Tak więc już w szkole ludowej miał człowieka, który rozwijał w nim poczucie bojaźni, ufność w siebie, chęć trwania przy prawdzie. W Cleve uczył łaciny Fleischer, wolnomyślny w najpiękniejszem znaczeniu słowa. „Od niego posłyszałem po raz pierwszy: nie uznaję nikogo nademną i nikogo podemną".

Dodajmy wczytywanie i wgłębianie się w Goethego, a będziemy mieli wybitniejsze wpływy na ukształtowanie się indywidualizmu Moleschotta, nie sobkowstwa, ale niezależności i czerpania z samego siebie soków. Jak Fleischer, Jakób Moleschott nie znał nikogo pod sobą, ale i nikogo nad sobą.

Piękne były lata młodzieńcze. Zawiódł się wprawdzie początkowo, sądząc, iż na uniwersytecie pokażą mu całokształt wiedzy, gdy tymczasem otworzono przed nim — jak przed wszystkimi — ledwie kilka par podwoi na ten i ów korytarz gmachu. Ale znalazł krewnych duchem, potem znajomości z wielkimi umysłami Niemiec. Latem 1842 r. poznaje w Wirtembergii Straussa i Vischera, w Heilbronie Märklina, jesienią 1843. Valentina i Okena, następnie Liebiga, Bischoffa, Koppa. W Heidelbergu żyją: Carrière, znakomity histolog Henle, chemik Delffs. Gromadce kolegów i „pięknej, rozumnej, muzykalnej i towarzyskiej" pannie Waleryi Nagler wykłada Jakób o Heglu. Nie zapomina i o życiu politycznem, co tydzień on, Quittmann, Bamberger, Mördess i inni zbierają się w piwnicy zamkowej i marzą o poprawieniu świata i uszlachetnieniu ludzkości.

W 1844 r. zdobywa pierwsze ostrogi: nagrodę za pracę o liebigowskiej teoryi odżywiania się roślin. W styczniu 1845 r. broni rozprawy doktorskiej: prawdziwa niespodzianka dla ojca.

Jako Holender wrócił do ojczyzny i osiadł w Utrechcie. Nie zamieszkał w Hertogenbuschu, bo nie chciał stosunkom ojca zawdzięczać klienteli. Ze względów na nią chciano go wprowadzić do wolnomularzy, odrzucił propozycyą. Otoczył się kółkiem przyjaciół, lecz tęsknił do Niemiec. Wykształcenie, dłuższy pobyt, wspomnienia łączyły go z krainą filozofów. Po dwóch latach praktyki lekarskiej rzuca Utrecht i wyjeżdża do Heidelberga.

Latem 1847. miał pierwszy wykład, jako prywatny docent fizyologii. Warunki towarzyskie układają się jak najlepiej. Miła mieścina gości w swych murach Hettnera, Feuerbacha, Gervinusa, Rochana, Meissnera, Gotfryda Kellera, Bernarda Friesa. Piękny zastęp. Z wszystkimi połączył się Jakób ścisłą przyjaźnią.

W r. 1848. zaszedł przypadkiem do Jerzego Streckera. Był to najpopularniejszy człowiek w Moguncyi. Każdy żeglarz lub rzemieślnik w ogień by za niego skoczył, klasy posiadające szanowały go, choć

wiedziały, że im nie sprzyja. Przyjaciel Itzsteina i Gagerna, Karola Vogta i Roberta Bluma, teść Jaupa.

Zofia, córka jego, licząca mało co nad ośmnaście lat, przyjęła Moleschotta w niebiesko obitym salonie. Ścisnęła mu mocno rękę, a rozmowa jej wywarła nań od pierwszej chwili tak magiczny urok, że podczas następnych odwiedzin musząc kryć to, wpadał często w milczenie i zamyślenie, aż ojciec pytał, czy listu jakiego nie dostał. Czytali razem Straussa, Vischera, Anzelma Feuerbacha. Zofia łączyła swobodną myśl z najdelikatniejszą kobiecością i rozum z wdziękiem. Rysowała pięknie i pisała poezye.

Lecz Moleschott był narzeczonym. Luźny zachodził związek między nim i jego przyszłą, ale namyślał się, nim zerwał. Uczynił to za radą Vischera, który powiedział mu, że niema nic niemoralniejszego, jak żenić się z kimś li tylko dla danego słowa.

W tumie kolońskim podczas zwiedzania oświadczył Zofii, że swej narzeczonej nie kocha i że ona jego serce posiada. Małżeństwo doszło do skutku.

„Nasze życie było szczęśliwe. Z nią weszła do mego domu poezya, która objawiała się nietylko w tłómaczeniu utworów, przejmujących ją, ale bardziej jeszcze w tem, że we wszystkich trudach i znużeniach, smutkach i radościach świeciła nad nią, że w niej znajdowała moc walczenia z nieszczęściem. Ani na linię nie znikał Zofii nigdy ideał z horyzontu, najboleśniejsze zwątpienia rozjaśniał swem światłem. Zarazem nikogo nie znałem, ktoby oddał się tak spokojnie, tak bezwarunkowo prawdziwie jak ona. Przypominała mi w najtwardszych warunkach życia Sokratesa, Spinozę, Jerzego Forstera".

W tymże czasie pracował. Henle zachęcił go do czytania porównawczej anatomii, więc poczęły odbywać się na dużą skalę polowania na żaby. Badał nadto sprawę wydzielania przez zwierzęta kwasu węglowego w świetle.

Mając dwadzieścia ośm lat ogłosił popularną „Naukę o pokarmach" (Lehre der Nahrungsmittel). Jasność wykładu i świeżość myśli zwróciły na dziełko uwagę w kołach uczonych. Aleksander Humboldt przysłał autorowi bardzo pochlebny list. Lecz gdy Feuerbach w „Blätter für literarische Unterhaltung" napisał entuzyastyczną ocenę, książka i imię pisarza rozeszły się w szerokich kręgach. „Człowiek jest tem, co je", streścił filozof utwór i nazwał go nietylko pod względem filozoficznym, ale i etyczno politycznym przewrotowym. Jeśli ludzkość ma tworzyć i rozwijać się pomyślnie, musi odżywiać się i mieć czem odżywiać się. Zdanie proste i jasne, kamień węgielny ekonomii społecznej.

Lecz cienkie głosiki pseudoidealistów podniosły się natychmiast, śpiewając pieśń protestu. Z jedzeniem związywać ducha ludzkiego, a więc z bytem zwierzęcym, z istnieniem niskiem, co za niepoetyczność. Od tego krok do posądzenia o propagandę wiary w żołądek. I ci, których żołądki zajmowały może pół kadłuba wskutek stałego przepełniania, ubrali białe szaty i w imię najświętszych zasad jęli gromić uczonego za elementarną prawdę.

Znalazłszy się już w ogniu, młody bojownik nie odrzucił ładownicy i nie wycofał stóp z placu boju. W r. 1851. wydał „Fizyologię wymian u roślin i u zwierząt“ (Physologie des Stoffswechsels in Pflanzen und Thieren). W r. 1852 Obieg życia (der Kreislauf des Lebens). „Na podstawie spostrzeżeń wypowiedziałem śmiało, co wielu myśli, a niewielu tylko śmie półgłosem zaznaczyć. Mianowicie, że jesteśmy uwarunkowani chemicznym składem, mięszaniną naszego materyału, że materya panuje nad człowiekiem, że uczucia i myśl powstają według praw i reguł, jak spada według praw kamień lub drga struna, słowem, że nasza wola jest przyczynowo związaną“.

Zastrzegał się przeciw niesłusznym podejrzeniom. Ale nazwa materyalisty przylgnęła doń. „Serce, które jest dobrej myśli, nie powinno się zrażać, powiadał Hutten. Więc czemuż miało mię dotykać, że uczeni i nieuczeni materyalistę filozoficznego zlewają z służalcem mamony. Wszak ci, co prawdziwie przed mamoną się korzą, chcą zawsze nazywać się idealistami“.

Te dzieła zdobyły mu przyjaciół i decydowały o przyszłości. Aleksander Humboldt, Ernest Renan, Emil Rossmässler przyklasnęli głośno, imię jego stało się szeroko znanem w Europie.

Obok pytań szerszych badał specyalne, studyował fizyologię wątroby i śledziony, ciałek krwi, żółci, mleka, cholesteryny. Od 1855. począł wydawać „Badania przyrodnicze nad człowiekiem i zwierzętami“, pismo do dziś wychodzące. W 1854. ogłosił monografię o genialnym wileńczyku Jerzym Forsterze.

Tymczasem rząd badeński przysłał do rady uniwersyteckiej zapytanie o Moleschotta. Objaśnienia wypadły na korzyść. Mimo to wkrótce potem otrzymał „upomnienie aby zaprzestał „niemoralnych i cynicznych“ wykładów z katedry“!...

Po podobnej apostrofie Moleschott nie myślał zatrzymywać miejsca. Natychmiast podziękował.

Pośród objawów ogólnej sympatyi, żegnany serdecznie przez młodzież, opuścił wnet Heidelberg, by objąć w Zurychu katedrę fizyologii. Pobyt zurychski wypełnia szereg odwiedzin. Co posiadały najszlachetniejszego Niemcy, przyjeżdżało do niego; przejezdni z Francyi, Anglii i Holandyi uważali za powinność poznać się z nim. Varnhagen von Ense i Rahel, Quinet, George Eliot, Lewes, Fanny Lewald. Lord angielski Jerzy Thomas, który znał go tylko z dzieł, nie wiedząc, czy on utrzyma się w Zurychu, zaproponował mu osiedlenie się w jego zamku, „aż coś się znajdzie“.

Na tem kończy się niniejsza książka, pełna filozoficznego spokoju, pogody ducha i skromności. Rozległość umysłu przegląda z niej i szlachetność serca i duszy. Po kilku latach życia w Zurychu uczony został wezwany do Turynu i mianowany senatorem, w końcu zaproszony na uniwersytet rzymski. Tu w dawnej stolicy świata zasnęła jego towarzyszka, po niej 20-go maja 1893. roku on.

W. BUGIEL.

Z CYKLU:

WARSZAWA.

V.

WARSZAWA Z PRAGI.

W zachodzącego słońca blasku złoto-purpurowym,
W przejrzystej głębi nieba zawieszone, jak zwodnicze
Fata morgana, wielkie, ciche, senne, tajemnicze
Przedemną leży miasto me rodzinne. Oto nowym
Wieńcem iskier skroń zapłonęła Zbawiciela. Oto
Nad karmelickim kościołem czara błysła jak złoto.
Daleki nad kopułą czarną jasny krzyż rozpięty
I świętokrzyskie bratnie szczyty świecą jak dyamenty.

A mgła wieczorna zbiera się powoli i opływa
Miasta podnóże; w niej pluszcze tylko Wisła ruchliwa.
Bo stolica, jak zaklęta, śni upojona ciszą,
Nieba pogodą i blaskami, które nad nią wiszą.

VI.

RANEK W MIEŚCIE.

Wracam z nocnej hulanki. Suche oczy mam,
Gardło spieczone. Perfumy dwuznacznych dam
Jeszcze mię duszą, lecz poranka chłodny czar
Zwiewa te wrażenia, ucisza zmysłów żar.

Oto pierwszy ranny różowy świt
Wtargnął na domów i na wieżyc szczyt,
I na niebie skłębione warstwy chmur
Wnet pomalował w różnobarwny wzór

I stoczył się w ulicę. Latarń blask
Równy już ledwie światłu smolnych drzazg.
Wielka przeddzienna cisza. Spokój ten
Wnet pierzchnąć ma; kończy się miasta sen.

Ogarnia mię nieznany, tęskny żal;
Tak marnie płynie życie w próżną dal;
Inni się budzą na zwycięzki znój,
Na radość południa, na tryumf swój.

JAN STEN.

MŁODA POLSKA
POD ZABOREM PRUSKIM.

Komu nie są obojętne sprawy zaboru pruskiego, ten z pewnością musiał zwrócić uwagę na grono przedstawicieli młodej, postępowej inteligencyi wielko-polskiej, kupiącej się dokoła założonego przed dwoma laty w Poznaniu tygodnika „Przegląd Poznański.“ Nie stanowiąc zorganizowanego stronnictwa, grupa ta, chętnie przybierająca nazwę „Młodej Polski“, nie może brać udziału wybitnego w życiu politycznem, społecznem Wielkopolski, lecz pragnie na razie w miarę sił i zdolności wpływać na opinię publiczne za pomocą swego organu, który na jałowym gruncie poznańskim stanowi zjawisko pocieszające. Rozpocząwszy wydawnictwo „Przeglądu Pooznańskiego“, „Młoda Polska“ podjęła się zadania bardzo niewdzięcznego ze względu na ogólne położenie zaboru pruskiego.

Smutny jest stan społeczeństwa polskiego w tym zaborze. O żadnym ruchu umysłowym w Poznańskiem lub w Prusach Zachodnich nie ma mowy. „Literaturę“ reprezentuje tam parę pism ludowych, „Pamiętnik“ Towarzystwa przyjaciół nauk, zapełniony pracami, częstokroć bardzo wątpliwej wartości i garść pism politycznych, przeważnie prowadzonych nader nędznie. Lud wiejski zaboru pruskiego stosunkowo wyżej stoi pod względem kulturalnym od włościaństwa innych dzielnic, ale nie ma jeszcze wyrobionego poczucia swych interesów klasowych. Prowadzony na pasku przez ogłupiające go duchowieństwo, oddaje przy wyborach głos na kandydatów szlacheckich, którzy w parlamencie odgrywają wstrętną rolę pogardzanych i policzkowanych, a mimo to wiecznych służalców rządu, popierających wszystkie wnioski, przeciwko interesom ludu skierowane. Miasta zaboru pruskiego wskutek bardzo nizkiego poziomu rozwoju ekonomicznego kraju, nie wysunęły naprzód ani wpływowej burżuazyi, ani licznej, świadomej swych celów, klasy robotniczej. Budzące się drobnomieszczaństwo zaledwie pierwsze kroki stawia na arenie walk politycznych. Panem zaś sytuacyi jest wszechpotężny, wzorowo zorganizowany, trzęsący wszystkiem i nadający ton całemu życiu publicznemu — kler katolicki.

W chwili wstąpienia „Przeglądu Poznańskiego“ (r. 1894) sytuacya polityczna zaboru pruskiego przedstawiała się w ten sposób. Z jednej strony szlachta, sprzykrzywszy sobie politykę opozycyjną i bezowocne powoływanie się na traktaty, prowadziła politykę ugodową, sądząc, że popierając rząd i głosując w parlamencie za wszystkimi jego wnioskami, uzyska daleko sięgające ustępstwa na rzecz ludności polskiej. Z drugiej strony wciąż wzmagający się ruch ludowy, kierowany przez redaktora „Orędownika“ dra Szymańskiego coraz głośniej protestował przeciwko oligarchii szlacheckiej. Drobnomieszczaństwo, pod wodzą dra Szymańskiego, który z dawnego lojalisty przedzierzgnął się w stronnika bezwzględnej opozycyi, rozbijało zgromadzenia zwoływane przez szlachtę, burzyło się nawet prze-

ciwko duchowieństwu, ale żadnego skrystalizowanego programu nie posiadało. Podczas wyborów do parlamentu na całej linii zwyciężyli ugodowcy a kandydat drobnomieszczański w Poznaniu, główny kierownik całego ruchu ludowego, dr Szymański, otrzymał nie o wiele więcej głosów od kandydata młodej słabej partyi socyalistycznej.

„Młoda Polska“ wystąpiła na arenę pod hasłem walki zaciętej o infuzyę krwi świeżej do anemicznego organizmu społeczeństwa wielkopolskiego, o prawa obywatelstwa dla humanitarnych prądów i postępowych idei, o emancypacyę uczuć narodowych, zgłuszonych fajerwerkami lojalizmu i grzechotem legjonów klerykalnych, o zmartwychwstanie literatury i piękna na poznańskim gruncie, o tolerancyę przekonań, swobodę myśli i głos dla gwałconych bezprzykładnie praw etyki i równości obywatelskiej.

Jakiż jest stosunek „Młodej Polski“ do istniejących już na gruncie wielkopolskim stronnictw politycznych? Wychodząc z założenia, że Rzeczpospolita upadła, ponieważ nieposiadała warunków organizmu państwowego, „Młoda Polska“ widzi przyszłość narodu w odrodzeniu społeczeństwa na zasadach demokratycznych. „Dopóki to nie nastąpi — powiada „Przegląd poznański“ — nie wierzymy, żeby naród nasz mógł zająć samodzielne stanowisko w rodzinie narodów europejskich. Nie wierzymy w skuteczność gwałtownych wysileń, ale wierzymy w rozwój sił społecznych, pod których niepohamowanem parciem pęka obręcz, krępująca żywy jeszcze organizm.“ Z tej przyczyny „Młoda Polska“ sądzi, że dla narodu, pozbawionego niepodległości potitycznej, wewnętrzny moralny i kulturalny postęp ma daleko większe znaczenie, aniżeli polityka, która przeradzając się w czcze politykowanie, wyczerpuje najlepsze siły umysłowe społeczeństwa w jałowych sporach o zużyte hasła. Ten właśnie rozwój wewnętrzny jest rękojmią lepszej przyszłości narodu.

Wygłaszając takie poglądy „Młoda Polska“ tem samem już wypowiadała walkę stronnictwu szlacheckiemu, które na zewnątrz jest w zaborze pruskim reprezentantem całego społeczeństwa polskiego. Pokładając nadzieję jedynie tylko we własnych siłach narodu, „Młoda Polska“ musiała odrazu ostro wystąpić przeciwko tej polityce ugodowej, którą prowadziła szlachta, a która w wysokim stopniu demoralizowała społeczeństwo, każąc mu wyczekiwać łask z ręki rządu pruskiego za cenę zwinięcia chorągwi bojowej. „Przegląd Poznański “ od samego początku niezmordowanie walczył z ugodowcami, przemawiając w obronie polityki samodzielnej, opozycyjnej argumentami nader przekonywającymi. Jeszcze wówczas, kiedy ugodowcy wycierając przedpokoje pałacu cesarskiego w Berlinie, łudzili swych wyborców obietnicami, które nigdy nie miały się ziścić, „Przegląd Poznański“ zapowiadał blizkie bankructwo polityki ugodowej i wskazywał na Czechy, gdzie naród, walcząc do upadłego, zdobywa jeden posterunek za drugim. Dziś, kiedy społeczeństwo polskie pod zaborem pruskim zupełnie rozczarowało się do polityki ugodowej, którą broni tylko garść posłów z berlińskiego „Koła“ odgrywającego takąż samą haniebną rolę, jak i „Koło“ wiedeńskie; kiedy nawet

najlojalniejsze pisma polskie w Poznaniu zaczynają trąbić do odwrotu, „Przegląd poznański“ może z zadowoleniem twierdzić, że w tem jest cząstka i jego zasługi.

Jako grupa postępowa „Młoda Polska“ musiała podjąć walkę z wszędzie przenikającym, a nader szkodliwym wpływem kleru.

Znaczenie duchowieństwa jest wynikiem tych opłakanych warunków, w jakich żyje naród polski pod zaborem pruskim. Ponieważ pomiędzy ludnością rdzennie polską, a Niemcami istnieje antagonizm nie tylko narodowościowy, ale również i religijny, więc księża, stając w obronie katolicyzmu, zagrożonego przez protestantyzm, tem samem bronili ludności polskiej od zaboru niemieckiego. Podczas kulturkampfu, wywołanego przez Bismarka, księża zmuszeni byli oprzeć się na masach ludowych, ażeby skutecznie stawić czoło zakusom rządu antikatolickiego. Pozyskawszy raz lud wiejski i miejski, duchowieństwo trzyma go mocno w karbach uległości, wszelkimi siłami starając się oddalić odeń wszystko, co by mogło wpływ kleru uszczuplić. Księża wielkopolscy dawno już zrozumieli, że lud jest siłą, która może oddać sprawie kościoła wojującego wielkie usługi, jeśli zostanie umiejętnie użytą. To też księża dużo pracują wśród ludu. Oni agitują podczas wyborów, oni wydają książeczki i pisemka ludowe, oni organizują „katolickie“ stowarzyszenia robotnicze i t. d. Ksiądz jest patronem, prezesem, skarbnikiem i sekretarzem najróżnorodniejszych organizacyj, poczynając od towarzystwa kółek rolniczych lub czytelni ludowych, a kończąc na stowarzyszeniu przemysłowców.

Za czasów kulturkampfu księża, którym chodziło o poparcie ze strony ludu, wysoko trzymali sztandar narodowy, wciąż mówiąc w swych organach o podeptanych prawach języka polskiego, o krzywdzie, która się dzieje ludowi w szkolnictwie, sądownictwie i t. d. Jednakże ten zapał narodowy pomału, ale stale ostygał w miarę tego, jak rząd przestawał prześladować duchowieństwo katolickie. Po ostatecznym zaś tryumfie Rzymu, kiedy t. z. prawa majowe były zniesione i rząd zaniechał walki z kościołem, duchowieństwo, poczuwszy się na siłach, odrzuciło niepotrzebną mu już frazeologię polsko-patryotyczną i stanęło na gruncie czysto i wyłącznie katolickim. Obecnie ogół duchowieństwa wielkopolskiego jest, z nielicznymi wyjątkami, albo zupełnie obojętny na sprawy narodowe, które nie są ściśle połączone z interesem kościoła, albo też występuje wprost wrogo przeciwko naszym aspiracyom narodowym. Cały program „narodowy“ duchowieństwa streszcza się w żądaniu, ażeby dzieci uczono w szkole czytać po polsku, ponieważ to jest potrzebne przy wykładzie religii. Kler w swych organach, na których czele stoi „Kuryer Poznański“ głosi otwarcie bezwzględny lojalizm pruski i wyrzeczenie się wszelkich dążności narodowych, przyczem rości sobie pretensye do przewodnictwa w społeczeństwie.

Klerykalizm wielkopolski wysunął się na pierwsze miejsce od czasu, kiedy stolicę arcybiskupią zajął ks. Stablewski. Dopóki funkcye arcybiskupie pełnił Niemiec Dinder, człowiek cichy, spokojny, nie wtrącający się do polityki, duchowieństwo nie było zupełnym panem. Dopiero odkąd „rodak“ stanął na czele kleru, arystokracya kornie

poszła pod rozkazy tego „prymasa“ Polski, ksiądz Stablewski stał się małym królikiem w Wielkopolsce i począł kierować całą polityką.

„Przegląd Poznański“, nie występując nigdy przeciwko dogmatom religijnym, broniąc tylko niezależności wiedzy, zwalczał i zwalcza klerykalizm z całą energią, a znający dobrze stosunki wielkopolskie poczytują za szczególną zasługę temu pismu zachwianie powagą ks. Stablewskiego, otoczoną przedtem aureolą nieomylności. Ma się rozumieć, że klerykalizm wielkopolski jeszcze długo będzie miał wpływ ogromny, a duchowieństwo przez znaczny czas jeszcze pozostanie potęgą niebezpieczną i zasługą „Przeglądu Poznańskiego“ jest to, że on pierwszy wszczął walkę, która musi się skończyć zwycięstwem prądów postępowych.

Wypisawszy na swym sztandarze hasła demokratyzmu „Młoda Polska“ umiała w swym organie zwrócić uwagę na prądy, które nurtują w masach. Lud wiejski w Poznańskiem i w Prusach Zachodnich dotychczas jest, jakeśmy już zaznaczyli, uległem narzędziem w ręku duchowieństwa i szlachty. Zabór pruski czeka jeszcze na swych Stojałowskich i Wysłouchów, którzyby pobudzili chłopów do samodzielnej akcyi politycznej. Ruch socyalistyczny bardzo powoli zdobywa sobie nielicznych robotników i drobnych rzemieślników po miastach, gdyż z jednej strony rozwojowi socyalizmu mało sprzyjają ogólne warunki ekonomiczne kraju, z drugiej zaś socyalizm musi prowadzić nadludzką walkę z bojkotem duchowieństwa. Szerząc się też wśród polskiej ludności robotniczej w Niemczech, na gruncie wielkopolskim socyalizm dotąd wydał bardzo nieznaczne owoce. Jedynym demokratycznym czynnikiem w polityce zaboru pruskiego jest t. z. „ruch ludowy“, kierowany przez dra Szymańskiego. „Ruch ludowy“ opierający się na drobnomieszczaństwie, rzemieślnikach, kupcach i niewielkim zastępie inteligencyi niezależnej, zabarwiony poniekąd antysemityzmem, nie zdobył się jeszcze na żaden program społeczno-ekonomiczny. Zwalcza on oligarchią szlachecką, od czasu do czasu nie waha się występować przeciwko klerowi, socyalizmu nie znosi tak samo jak szlachta i właściwie mówiąc, sam dobrze nie wie, do czego dąży. Dopóki nie posiada wpływu bezpośredniego na bieg spraw politycznych, dopóki jest w opozycyi, może stanowić ferment nawet pożyteczny, ale poważnej przyszłości przed sobą niema, dopóki swego charakteru nie zmieni. Prawdopodobnie przeważna część rzemieślników i kramarzy przejdzie z czasem do obozu socyalistycznego, opozycyjny zaś ruch ludowy przeniesie się na wieś, gdzie może odegrać taką samą rolę jak ruch chłopski w Galicyi.

Względem tego drobnomieszczańskiego ruchu ludowego zachowuje się „Młoda Polska“ z pewną rezerwą. Razi ją ta forma brutalna, w jakiej „ruch ludowy“ się przejawia, ale traktuje go objektywnie, broniąc wobec napaści prasy szlachecko-klerykalnej. Nie zgadzając się ze wszystkimi dążnościami ruchu ludowego, „Przegląd Poznański“ powiada: „w ruchu ludowym widzimy zapowiedź zdrowszego kierunku politycznego. Ruch ludowy — to objaw ewolucyi społecznej. Mamy przekonanie, że ruch ten ma przyszłość przed sobą, że rozleje się od Pszczyny aż do Warmii po całym zaborze pruskim i że swym

ciężarem przygniecie wszystkie nasze koterje. Jestto tylko kwestya czasu.“

Co do socyalizmu, to „Przegląd Poznański“ zamieszcza od czasu do czasu o nim artykuły objektywne, a nawet nie pozbawione pewnej sympatyi dla ruchu robotniczego, stronnictwa socyalno-demokratycznego i t. d. Ma się rozumieć, że pod tym względem musi zachowywać wielką ostrożność, ponieważ nie może zrażać swych czytelników, dla których wskutek ogólnego zacofania inteligencyi poznańskiej, socyalizm tylko bardzo pomału przestaje być jakąś bestyą apokaliptyczną.

Jako pismo literackie i naukowe organ „Młodej Polski“ może stanąć godnie obok warszawskich pism tego rodzaju. Stara się on zapoznać swych czytelników z nowożytnymi prądami w literaturze, sztuce i nauce, udzielając głosu najwybitniejszym siłom publicystycznym wszystkich trzech zaborów. Na liście współpracowników „Przeglądu Poznańskiego“ figurują imiona publicystów obozu postępowego wszystkich odcieni — aż do zdecydowanych socyalistów. Wychodzi to poniekąd na niekorzyść pisma, ponieważ nadaje mu charakter bardzo niejednolity, ale oddaje usługi społeczeństwu, zasklepionemu w koteryjności zaściankowej, rozszerzając jego horyzonty umysłowe. Zasługą „Przeglądu Poznańskiego“ jest poruszanie kwestyj drażliwych, o które inne pisma boją się potrącać. Swietne fejletony Sulli (redaktora dra Władysława Rabskiego), pisane barwnym, iskrzącym się stylem, ogromnie ożywiają organ „Młodej Polski.“

Za krótką jest działalność „Młodej Polski“ i jej organu, ażeby można było mówić o jakichś donośnych rezultatach. To tylko pewne, że dziś „Przegląd Poznański“ wywiera już wpływ znaczny na młodsze pokolenie inteligencyi wielkopolskiej, ucząc je myśleć i wskazując mu pole pracy. Zasługą „Przeglądu Poznańskiego“ będzie, jeśli wychowane przezeń pokolenie weźmie się do pracy rzetelnej i wyrwie Wielkopolskę z tej zatęchłej atmosfery, w którą wepchnęło je długoletnie panowanie szlachty i duchowieństwa.

LEON WASILEWSKI.

LEKCYA ŻYCIA.

NOWELA.

Prostopadłe promienie słońca rozniecały taki żar, że oddychało się z trudnością, dusiło się po prostu. Obłoki, powietrze, zdawały się być rozpalone do białości i stały w miejscu bez ruchu— rozciągnięte nad ziemią nakształt tumanów białawego, mieniącego się pyłu. Najmniejszy wiatr nie poruszał się nad ziemią. Drzewa o liściach obwisłych, powleczonych warstwą kurzu, stały jak obumarłe i biła od nich jakaś senność i wyczerpanie zarazem. Kurz pod nogami rzadkich przechodniów wznosił się niewielkimi kłębami i spadał natychmiast, leniwie otaczając białą powłoką pnie kasztanów i trawniki parku. Nawet cienie nie zachęcały, bo mieniły się pocentkowane plamami słońca.

Przy klasztorze cicho prawie było. Kilka kompanji pielgrzymów przesunęło się z pieśniami — a później tylko od głównej

bramy dochodziły senne śpiewy dziadów i półgłosem, przez sen trzepane modlitwy. Ale i te, przerywane znużeniem, rozchodziły się w powietrzu jak szmer i ginęły. Tylko miarowy odgłos stąpań kilkudziesięciu żołnierzy, mustrujących się tuż pod murami klasztoru i warczenie bębna gdzieś dalej trwały dłużej. Co chwila migał długi szereg czarny w połowie, popielaty od kurzu. Co chwila czerwona wstęga lampasów u czapek skręcała się i rozkręcała, wydłużała, zwężała, wyginała to w tę, to w ową stronę i mknęła naprzód, rozwijając się jak wąż. Długi szereg nóg podnosił się jednocześnie i opadał z głuchym odgłosem na spieczoną ziemię. Komenda ostro, energicznie wyrzucana, podnosiła się, przelatywała jak raca nad szeregami i milkła. A zaraz rozlegał się suchy chrzęst karabinów przerzucanych do nogi, a czasem zgrzyt bagnetu o bagnet i łopot ciężki nóg. Oficer przed frontem z szablą w ręku uwijał się w tym ukropie słonecznym niby salamandra, cofał w tył, gdy nań następowano, uchodził na bok, gdy kolumna jak wachlarz rozrzucała się kolistymi pasami, to oparty o cienki klon chłodził chustką rozpaloną twarz. Było coraz cieplej. Ostrza karabinów świeciły jak płomyki wydłużone. Twarze były okryte kurzem i oblane strumieniami potu, a bronzowe od słońca.

Na ławce, nisko u podstawy pomnika siedziało kilku oficerów. Młody kasztan słabo ich ochraniał od słońca. Rozmowa wlokła się leniwo; — obezwładniało ich ciepło, które w tem miejscu odsłoniętem, było niezmierne, a powiększone odbiciem promieni od granitowych, polerowanych głazów monumentu — porażało.

Pomnik wznosił się wysoko, panując nad morzem zieleni, które mu do stóp zbiegało. Nad niem a za niem wznosiła się wieżyca wysoka o ostrym szczycie — której kratowania balkonów i kamienne balustrady wyglądały jak z koronki na tle nieba. A niżej trochę, mury klasztoru o dachach biegnących w połamanych linjach, zagmatwanych, z masą poprzyczepianych chorągiewek, wieżyczek, wznosiły się ciężką masą ścian, podziurawionych setkami okien, odbijających błyskotliwie promienie słońca.

Znacznie niżej jeszcze olbrzymie ściany z cegły, poczerniałej od starości, zdawały się ściskać jak obręczą i trzymać w kamiennem ujęciu górę całą wraz z klasztorem. Ztąd niby z najwyższego punktu amfiteatru wzrok obejmował olbrzymią przestrzeń ziemi i nieskończony wielkością szmat nieba. Wprost wieży, od stóp wzgórza biegła aleja, obrzucona z dwóch stron podwójnymi rzędami kasztanów i przepoławiała miasto na dwie części. Blaszane dachy, szczyty nietynkowanych domów, las kominów, wieżyczek, słupów wyłaniały się z boku drzew chaotycznie zmieszane, nakryte szarawą, przepaloną atmosferą. Dymy snuły się leniwie i rozwłóczyły w strzępach, jak kawały niebieskawych opon. Lazurowe kopuły cerkwi, zakończone złotymi krzyżami, błyszczały i zdawały się chwiać w drganiach mieniącego się morą powietrza. Tu, z tej wysokości miało się miasto całe jak na dłoni rozsiadłe i olbrzymią przestrzeń roztaczającą się w nieskończoność.

Czułem głęboki spokój, wpatrując się w ten krajobraz. Ten nadmiar przestrzeni owiewał mnie melancholją, ciszą i sennem obezwładnieniem. Było mi dobrze tak siedzieć, patrzeć, kontemplować — a chwilami i nic nie myśleć, a coraz głębiej pogrążać się w rozkosz wyczuwania tylko, w jakąś na pół świadomą wegetacyę przyrody.

Dobrze mi tak było w cieniu i chłodzie, na miękkiem podścielisku traw, opartemu o wały klasztorne. Widziałem coraz mniej, czułem coraz niewyraźniej; przestrzeń, upał, cisza rozmarzyły mnie słodko; komenda, miarowe stąpania szeregów, długie linje ludzi i broni, śpiewy dziadów — wszystko to wydawało mi się tylko jakby majaczeniem. Czułem — ale nierozumiałem nic. Zobaczyłem, że kilku mężczyzn rozłożyło się na trawie, w cieniu olbrzymich osiczyn, stojących na skraju parku, że się poruszali, że musieli mówić czy śpiewać, bo jakieś drgania uderzały we mnie; później jacyś ludzie biali w połowie, jak mi się majaczyło, wychodzili z werendy restauracyjnej, migotali tą białością swoją wskroś cieniów — ostre dźwięki, jakby tony szkła, przenikały mnie zimnem — ale nici mojej świadomości rozsuwały się coraz bardziej w wyczuwanie, w półsen. Znowu później obiło się coś o moją siatkówkę, ktoś szedł pod górę wprost mnie, bo cień, plama jakaś czarna chwiała się w słońcu. Patrzałem na nią, ale nie mogłem skupić uwagi, nie miałem sił ni woli. A jednocześnie w jakieś głuche wrzenie gniewu wprowadzał mnie ten punkt stanowiący dla wzroku zaporę i jakiś centr przyciągający. Drażniło mnie to, że nie mogłem nic nie widzieć, że, nie mogłem się tego wyzbyć z siebie, ani z przed siebie. Rozdrażnienie powiększyło się jeszcze przez to, że postać owa przenosiła się z miejsca na miejsce, przecinając ukośnie całe moje pole widzenia, że zbliżała się do tych leżących w cieniu — przystawała. Zaczynałem czuć ulgę, gdy znów zaczęła się rzucać gwałtownie, dziwacznie. Pochylała się w pół, jakby w ukłonach i prostowała wyniośle. Przebiegła mnie głucha, ogromna chęć rzucenia kamieniem; jakaś dzika złość zatrzęsła mną, że darłem garścią trawę i pieniłem się wewnętrznie — ale wpatrując się w niego z tej złości z uporczywością — zapomniałem na co patrzę. Zapadłem w stan taki, w którym ma się oczy otwarte, uwagę natężoną i nie spi się, a niewie się nic, czuje się słabo tylko siebie, nie wiedząc, że się jest. Przedmioty odbijają się w oczach jak w zwierciadle, rzucają pewien cień, który przysłania źrenice, nie przenikając głębiej.

„Żebyś ty matko rózgą dziecko siekła.“

Poruszyłem się gwałtownie, przestraszony dosadnością, z jaką śpiew ów zadźwięczał. Snać przebudzony na mgnienie dziad wyrzucił z siebie odruchowo ten wiersz i zasnął z powrotem. Powlokłem oczyma i znów uderzyłem się niejako o postać ową. Stała bliżej mnie, na niewielkiej przestrzeni, ogołoconej z drzew. Gromadka tych leżących w cieniu śmiała się głośno i klaskała w ręce. Zawrzałem złością zobaczywszy dokładnie. Żebrak był to jakiś. Drażniła mnie jego żółta, łysa czaszka świecąca się w słońcu jak polerowana i niejako hypnotyzowała mnie.

— Dlaczego stoi w słońcu na żar taki? Co wypatruje? Pomyślałem, spojrzawszy uważnie prawie po przez niego. Pusto było za niem. Wyciągał ręce do butelki, podawanej mu przez któregoś z leżących i mówił coś głośno, bo jakieś niezrozumiałe dźwięki dochodziły aż do mnie.

Już sam nie wiem, co mnie poderwało z miejsca, dość, że podszedłem i stanąłem wprost niego, w cieniu.

Wyglądał bardzo staro. Chudy, wysoki, o czaszce nagiej, czole cofniętem w tył, w skroniach szerokiem. Twarz miał długą, żółtą, porżniętą zmarszczkami, które się układały w fałdy zastygłe; brwi krzaczaste osłaniały głęboko wpadnięte oczy siwe, mętne jakieś. Nos prosty, silny w osadzie; broda biało-żółtawa spływała mu w długich kosmykach, zasłaniając całe piersi. Wyraz całej twarzy niezwykle cierpki a namaszczony. Miał na sobie rodzaj szlafroka, ściągniętego w pasie sznurkiem. Łokcie suche, żylaste, świeciły mu przez dziury rękawów. Jedną nogę miał obutą w kalosz, a drugą okręconą szmatami. Przez całe to okrycie podziurawione, podarte w strzępy przeglądała ostateczna nędza i opuszczenie. Na piersiach w pośród łachmanów świecił cały szereg medali, kwiatów i t. p. odznak. Do szyi miał przywiązany sznurek, u końca ktorego, wlokącego się po ziemi, była przyczepiona masa kawałków blachy, pudełek, starych podeszew i szmat. Ile razy poruszył się, ogon ów z brzękiem podskakiwał po kamieniach.

— Zatańcz no stara małpo! Krzyczeli do niego.

— Tańczyć! Ho! ho! Byłem pierwszym tancerzem u Ludwika Filipa.

— Syp bracie kankana! Zaśpiewamy ci:

Młodzież się już klasycyzmu zrzekła
I zniknął już piryjski tan —
I tańczą tańce rodem z piekła
Dzing la la...

ryczeli bezładnie pijanemi głosami, a stary z butelką w jednej ręce, podtrzymując drugą połę swej okrywki, kankanował po drodze. Kurz niby obłokiem nakrywał go, wreszcie, gdy zmęczony się uczuł, przystanął, podniósł butelkę w górę i krzyknął:

— Niech żyje młodość, taniec, wódka i dziewczęta! Niech żyje uciecha! Głupcom zostawcie troski, niedołęgom płacze, idyotom trud! Używajcie! W tem mądrość! Tra la la la! Wiwat młodzieży! Wypił resztę; butelkę odrzucił i kankanował z powrotem.

— Niebiański, Nieporównany, Cudowny, ha! ha! ha! krzyczało towarzystwo, zaśmiewając się z uciechy; klaskali, tarzali się po trawie, pili do niego podsycając jego animusz. Skończył wreszcie i upadł w pył ze zmęczenia, dysząc ciężko.

— Monsieur — Panowie! Jedną radę dam, złotą radę. Streści się w jednym roku całe życie, wypijcie rozkosz do dna i powieście się ha! ha! ha! Łeb na stryk i śmierć w mig, ha! ha! Żegnam! Mogę umrzeć, bo godnych następców zostawiam, mogę spocząć spokojny, że z wami wszystko djabli wezmą. — Adio! — kłaniał się z powagą majestatyczną, odbierając obfite datki, jakich mu nie

szczędzili rozbawieni. Odszedł wolno i uśmiechał się do słońca, mrucząc coś niewyraźnie. Skoro tylko wyszedł z parku, wysypała się z poza drzew gromada oberwanych, wynędzniałych dzieci i krzycząc i świszcząc, obrzucali go gradem kamieni i gruzu.

— Waryat! ha! Waryat! Huzia go! Waryat! ryczeli i grad pocisków sypał się na niego. Stanął milcząc, choć niejeden bolesny raz go dosięgnął. Wzrok miał utkwiony przed siebie i ani jednem poruszeniem nie zdradzał uczuć. Wyglądał, na tle blado niebieskiego powietrza jak jeden z kamienowanych apostołów Tintoretta. Krzyki, razy, obelgi wzmagały się.

— Do nogi szczenięta, do nogi! zawołał wreszcie, pogwizdując cicho.

Było coś niezmiernie bolesnego w tej scenie. Że to był obłąkany, nikt nie miał wątpliwości, widząc jego zachowanie się. Litość ogromna poruszyła się we mnie nad tą jego poniewierką i już zwróciłem się do dzieci, żeby je przyciszyć, gdy on podniósł twarz ku pomnikowi i mówić zaczął:

— Panie czemuś ich zostawił! Po co jest to bydło rozbrykane? Mówię Ci ja, Panie — czemuś nie zatrząsł ziemią, żeby ich wszyscy djabli wzięli — Panie — to hołota! bydło rozbrykane, głupcy od wiek wieków. Panie, jeśli nie wiesz, jak oni żyją — to bardzo źle — zrobiłeś sobie świat dla facecyi i dbasz teraz tyle o niego, co pies o piątą nogę — to jeszcze gorzej, bo nie wiesz co się tutaj wyrabia — ja Ci powiem — ja, który wycierpiałem tyle co i Syn Twój — więcej jeszcze. Bo Synowi Twojemu nie wzięli żony, nie spalili domu, nie zabrali dobra, nie ogłosili zdrajcą, nie, ale mnie mój słodki, to zrobili. To Polaczki tak robią! I czemu ich trzymasz! Bij sukinsynów, morduj, gnęb to podłe plemię. Przecież czas, żebyś się zajął jakim takim porządkiem na świecie. Zobacz, czem są te polskie dzieci — zobacz. — Spać, żreć, nic nie robić, kłócić się — to umieją te pany. — I ty na to pozwolisz, że są, Imperatorze Imperatorów, wołał wyciągając ręce do cara. Spal, zniszcz, wyrznij i siarką wykadź, żeby smrodu nie pozostało.

— A tamci po co przyszli? po co? Wołał groźnie zobaczywszy gromadę pątników. — Modlić się!... ha! ha! Przed kawałkiem deski, przed lalką, wystrojoną w srebrne blachy bić pokłony. Fetysza żebrać przyszli o urodzaje, o zagubienie wszy, o lekkie połogi, o ładne cielęta. Tylko płaćcie, dużo płaćcie — a da wam ta!— Wszystko dostaniecie i jeszcze lepszego pypcia na slepie! Głupcy patentowani, ha! ha! Wołał to donośnym, silnym głosem, wyciągał ręce przed siebie, potrząsał głową. Rzucał błyskawice oczyma, buchała z niego nienawiść i obłęd. Dzieci stały w milczeniu, do nich przyłączało się coraz więcej ludzi zwabionych ciekawością. Byłem ogromnie ciekawy, czem się to skończy. A on, widząc, że ma słuchaczy, mówił długo, czasami rzucał skośnie oczyma, w końcu zaczął bełkotać coś niewyraźnie, pluł, odymał usta i zamilkł, pogrążając się w zadumie. Aż nagłym ruchem rzucił się na kolana, wyciągnął ręce do cara i głosem przejętym rozrzewnieniem głębokiem i czcią, wołał:

— Ja, woltyżer armii włoskiej, pozdrawiam cię Majestacie! i powstał. Szmer zadziwienia przeleciał po wszystkich. Oficerowie przestali gawędzić, patrząc z uwagą. Nawet komenderujący przystanął chwilkę, popatrzył i powiódł roty eszelonami. Żołnierze tylko, jak automaty z wciśniętemi w ramiona głowami, z ciałami wyprężonemi niby struny, z bronią u kolan, podług taktu maszerowali obojętnie. Odgłos ciężkich stąpań i lekki obłoczek kurzu unosił się za niemi, a długi, oślepiający szereg bagnetów kołysał się i migotał w słońcu.

— Ja, sierżant z pod Mantui, pozdrawiam cię Majestacie! i pochylił się aż do ziemi w ukłonie. Zdziwienie ogólne rosło, otoczonego ściślej, aby nie stracić i słówka.

— Ja, chorąży z pod Wagram!

— Ja, porucznik z pod Borodina.

— Ja, kapitan z pod Lipska, mówię ci cześć, Majestacie!

— Ja, major w wojnie o niepodległość Grecyi, podpułkownik Dybicza z 29 roku. Pułkownik kampanii węgierskiej, jenerał Puebli, dowódca brygady z Pondichery. Ja, jenerał, wódz, feldmarszałek wszystkich ludów, czasów, wojen. — Ja przychodzę do stóp wszechpotęgi, do ciebie, Majestacie Najjaśniejszy, Ojcze ludów, Stwórco stworzeń i mówię: Pozdrowionym bądź na wieki wieków i klękam przed Tobą i proszę — pomścij mnie, pomścij! Umilkł, bił się w piersi, to składał ręce jak do modlitwy, pochylał się do ziemi w ukłonach. Medale aż dźwięczały, a ogon ów podskakując z brzękiem bił go po piętach.

Nikt się nie śmiał. Tyle było w jego głosie rzewności, patosu, prośby, dumy i szyderstwa równocześnie, że śmiech nie porywał, ale i litość serc nie poruszała. Oficerowie przysłali mu jakiś datek — przyjął w milczeniu. Twarz mu się powlekła pogodą wewnętrzną i zajaśniała rodzajem jowialności. Powlókł się wolno ku bramie klasztornej, postękując i opierając się mocno na kiju. Jakoś bezwiednie poszliśmy za nim. Przystawał, oglądał się i szedł. Minąwszy długi wał, biegnący od bramy na plac i czując się nim osłoniętym, stanął. Potem zwolna ukląkł, wyciągnął obie ręce ku szczytowi wież klasztornych i głosem jakimś z pod serca szeptał:

— Maryo! Królowo! Panienko Przenajświętsza!

Stanąłem tuż za nim i jakieś niemiłe podejrzenie przenikało mnie zwolna.

— O Matko Chrystusowa, pociesz nas ty w strapieniu, wesprzej swoją łaską, daj siłę na cierpienia, daj moc, daj wytrwanie.

— O Ty najwięcej cierpiąca, Ty czujesz naszą mękę, słyszysz błagania, widzisz łzy — o daj nam, daj pocieszenie.

— Panno Przenajświętsza! Ja biedny, nieszczęśliwy od samego nieszczęścia pogardzony, shańbiony, przychodzę do Ciebie ze łzami — otrzej je, przychodzę do Ciebie z bólem — ulecz mnie. Przekonaj ich Najczystsza, że jam ich, jam nie sprzedawczyk, nie! — powtórzył głośno, rozpaczliwym wysiłkiem. W głosie jak i w oczach miał łzy. Twarz mu pałała, usta się trzęsły, pierś podnosiła szybko, wstrząsana łkaniem. Wszyscy byli poruszeni do głębi, nie jeden

już sięgał do kieszeni — kilku bliżej stojących podchodziło dawać mu jałmużnę. Zagrodziłem im drogę i prawie głośno zawołałem oburzony:

— Nie dawajcie mu nic, to oszust, nie waryat. Wyłudza! Nie pamiętacie co mówił o fetyszach? co mówił tam? Zawahali się i odstąpili.

Łypnął na mnie spojrzeniem i modlił się jeszcze głośniej, z jeszcze więcej przejmującą akcentacyą.

— Ja zdrajca, oszust, renegat, ja? Niech te rany powiedzą i odsłonił piersi z łachmanów czarne, pełne pozabliźnianych ran i plam czerwonych.

— Ja sprzedawczyk! niech ta krew, którą przelałem, te łzy, któremi wszystko opłakiwałem powiedzą, czym oszust. Panno, Królowo święta, obroń mnie, natchnij ich wiarą, przekonaj, ze jam nie zdrajca, że jam syn Twój wierny, dziecko tej ziemi kochające, że jam niewinny oszczerstw, niewinny! Matko! mnie już łez, głosu, sił nie stanie, żeby wołać: Niewinnym!

I wybuchnął spazmatycznym płaczem. Rzucił się na ziemię z rozkrzyżowanemi rękoma i łkał tak długo.

Cofnąłem się zmięszany niesłusznem posądzeniem nieszczęśliwego. Czułem, że ci wszyscy spoglądają na mnie z gniewem. Więc też pierwszy, co tylko miałem drobnych pieniędzy wsypałem w rękę podnoszącemu się z ziemi, za mną poszli wszyscy.

Odszedłem trochę i przystanąłem pod drzewem aby ochłonąć, tak byłem zły na siebie. On przyjmował jałmużnę w milczeniu jakiemś dziękczynnem, z uśmiechem pełnym słodyczy i namaszczenia. Rozchodzili się wszyscy po placu. Podniósł kij i ruszył ku bramie klasztoru, a przechodząc obok mnie przystanął, nachylił się, zajrzał mi prosto w oczy i szepnął cicho, bezdźwięcznie:

— Panie! Co to panu szkodziło? Po co jeden drugiemu ma psuć! Każdy żyć potrzebuje!

Na usta mu wybiegł nieskończenie szyderczo-smutny uśmiech a oczami mrugał filuternie.

Usiadłem na pierwszej ławce zdumiony, a on poszedł dalej, śmiejąc się cicho, jękliwie — hi! hi! hi! Oddalał się, nie przestając się śmiać i odwracać profilem do mnie.

— Każdy żyć potrzebuje! Powtórzyłem mimowoli. Jakby usłyszał, bo już będąc w bramie zwrócił do mnie twarz i kiwnął nią niby na potwierdzenie i znikł poza murami.

Ja nie wiem co się ze mną stało. Wiatr się poruszył i wionął chłodem. Jakiś olbrzymi szmat chmur nadpłynął i rzucał cień na ziemię. Na placu wrzało życie: przekupnie świętości zachwalali swój towar, bębny warczały pobudkę, komenda jak grzmot przelatywała nad szeregami, ściśnięte kolumny maszerowały w takcie, biali mnisi wychodzili do gromad z przemowami, śpiewy dziadów wzmagały się i milkły, dzwony się odzywały głębokim, przejmującym rytmem, echa miejskich gwarów nadbiegały z wiatrem i roz-

włóczyły się po wzgórzu, słońce znowu paliło niezmiernie — a we mnie drżało coś boleśnie, nękało mnie na wskroś i dźwięczały mi w mózgu opanowanym nagłą, bezbrzeżną litością i smutkiem poznania — słowa:

— Każdy żyć potrzebuje!

WŁADYSŁAW St. REYMONT.

KRONIKA MIESIĘCZNA.

† Wacław Sawiczewski. — Kongres kobiecy w Paryżu. — „Marcin Łuba". — Sprostowanie dra Lewakowskiego.

(*is*). Przed kilku dniami ubył z szczupłego grona młodych talentów poetyckich, Wacław Sawiczewski, autor znanego szerszej publiczności dramatu „Na bezdroża" i kilku nowel, drukowanych po czasopismach krajowych. Licząc zaledwie 20 lat życia, spędzonego o chłodzie i głodzie, w ciężkiej pracy nad sobą samym, w walce z chorobą, która toczyła biedne jego płuca, był ś. p. Sawiczewski już człowiekiem dojrzałym, talentem męskim o szeroko rozwiniętych skrzydłach, których powiew zapowiadał lot trwały i wysoki. W „Grafomanie", szkicu nowelistycznym, drukowanym przed kilku miesiącami w *Czasie* — ujawnił głęboki ból i żal do życia, które nie dało mu nic, prócz cierpień i znoju. Żal ten przybrał w „Na bezdroża" formę cierpkiej satyry i pogardliwego protestu przeciwko tym, którzy zagarnęli dla siebie użycie, a drugim poskąpić go chcieli. Protest ten i satyra przypominały silnie utwory Ibsena i Strindberga, pod których wpływem pozostawał Sawiczewski, lecz przypominały je nietylko podobieństwem formy, ale potęgą talentu autora, który dorównywał niejednokrotnie wzorom swoim.

Oba utwory wzbudziły w znawcach nadzieję, iż talent Sawiczewskiego zajaśnieje niebawem blaskami oryginalnej twórczości. Niestety, śmierć położyła kres wszystkiemu. Wacław Sawiczewski zmarł na suchoty w niespełna parę miesięcy po wystawieniu jego dramatu na scenie krakowskiej.

* * *

(jst). Kongres kobiecy odbył się w Paryżu, a przebieg jego obrad, nieporządny, burzliwy, niemal komiczny, świadczy, że i na zachodzie kwestya kobieca nie wyszła jeszcze ze stadyum niemowlęctwa. Kongres zastanawiał się i powziął uchwały w najrozmaitszych sprawach, które nieraz zupełnie po za sferą jego kompetencyi leżą (np. neutralność Alzacji i Lotaryngji). Z równym zapałem debatowano i wyrokowano o tem, co możliwe i co osiągnąć można, jak też i o tem, co nawet we mgle marzeń ledwie jest widoczne. Stąd nie jedna ciekawa uchwała utonęła w powodzi szablonowych punktów feministycznego programu. Wątpię bardzo, czy hasło „powszechnego głosowania dla kobiet" może już dzisiaj zelektryzować lub pobudzić masy, czy zjedna sprawie kobiecej choć jednego współpracownika. Po cóż więc rozprawiać i rozpisywać się o niem, gdy tuż obok wymieniona jest kwestya żywotna i społeczeństwo całe obchodząca? Kongres

oświadczył się za systemem wspólnego wychowania chłopców i dziewcząt. System ten, praktykowany w Ameryce, dla całej Europy, z wyjątkiem jednej Finlandyi — jest rzeczą nieznaną. Zaśniedziała rutyna każe nam zamykać dziewczęta po pensyach i szkołach klasztornych, gdzie skrępowanie ciała bierze sobie często zupełnie dostateczny odwet w bezkarnem wyuzdaniu wyobraźni. Chłopcy tymczasem uczą się po gimnazyach słówek łacińskich i greckich, i wiadomo dobrze, czem skrócają sobie czas oczekiwania na upragnioną swobodę. I stokroć fałszem jest jakoby nawet zwykła moralność wstrzemięźliwości coś na tem zyskiwać miała. Trudno wyobrazić sobie istotę więcej cyniczną i wyuzdaną, nad dorastającego w dzisiejszych warunkach chłopca. Romantyczni chłopaczkowie, plotący równianki kwiatów dla białych panienek, to doprawdy przeszłość miniona, bardzo daleka, która istniała może tylko w rymach poetów. Dla przeważnej liczby naszych dzisiejszych gimnazistów kobieta jest tylko przedmiotem rozpusty, czemś, o czem się mówi tylko wśród zaduchu i dymu papierosów, w miejscach, gdzie najmniej można się spodziewać wizyty profesora. Dopiero wiekiem inteligentniejsi i wrażliwsi otrząsają się z tego, jak z choroby. Wspólne wychowanie ma usunąć tę obustronną chorobę. Pozbawi ono jednę płeć wobec drugiej uroku tajemniczości i zakazanego owocu; nie krępując rozbudzenia zmysłów, nie będzie ich sztucznie podniecało. A cóż się stanie z moralnością? Tej moralności, która polegać ma na wytwarzaniu brzydoty cielesnej i duchowej, tej bez wątpienia stanie się krzywda. — Tem lepiej.

O jednej jeszcze uchwale kongresu wspomnieć muszę, nie przez grzeczność dla dam, lecz przez własny interes, bo uchwała ta bliższą jest kwestyi męskiej, niż kobiecej. Kongres potępił policyą obyczajów i oświadczył się za zniesieniem państwowej kontroli nad prostytucyą — nie ma jej, tylko w Anglji i w Holandyi. — Gdyby względy przyzwoitości pozwalały tyle pisać o prostytucyi. ile pozwalają nam używać jej, to kontrola państwowa winna by się doczekać swego Juvenala. Państwo, ten wielki hipokryta, w postrzępionej czapce frygijskiej na głowie, z mieczem sprawiedliwości u boku, a z krzyżem złotym na piersiach — rozdający żółte książeczki na legalny handel ciałem i zdrowiem — cóż to za śliczny, żywy, bardzo żywy obraz!

Obraz ten ma jednak kilka stron prawie tragicznych. Najpierw prostytucya nie jest wcale wesołą. Egzystencya w bezwzględnej niewoli u właściciela lupanaru lub szynkowni, i wiecznie czyhającem widmem choroby nie jest chyba ponętną z winniśmy mieć całą wdzięczność dla urządzeń państwowo-społecznych, które mimo takich warunków bytu zawsze dostateczną armję „kapłanek cytery“ wytworzyć zdołają. Powtóre, z tej armji korzysta systematycznie dziewięć dziesiątych — szacuję zbyt nisko — dorastającej, współczesnej intelligencyi. W niektóre dnie poegzaminowe na odpowiednich ulicach więcej roi się studentów, niż w przedsionkach uniwersytetu. Że z miejsc tych wynosi się niedokładną znajomość kobiety i niedokładną wiadomość, czego w niej szukać należy, to rodzi nieraz bolesne lub śmieszne życiowe pomyłki.

Słusznie powiada gdzieś Arne Garborg, że przeciętny mężczyzna jest dziś brutalny lub nieśmiały. Bo doprawdy szuka zawsze bóstwa lub prostytutki.

Zniesienie kontroli państwowej nie zniesie prostytucyi, bo ta wyrosła jędrnie z gruntu warunków ekonomicznych, którego strzegą silne bojaźnią bożą żywioły porządku. Zniesione mogą być tylko niektóre najbrutalniejsze i najbardziej hańbiące (rewizya) szczegóły tego wyzysku. Gdy zło jest nieuchronne, najlepszem jeszcze lekarstwem, złu temu wolny zupełnie bieg zostawić.

* * *

(*jst*). Jeżeli wśród literatów krakowskich zamiast starego „bodaj cię cholera“ nie wejdzie w użycie przekleństwo nowe: „bodajeś dramaty pisał“, to świadczyć będzie, że nie przez nich zajęte były te kilka krzeseł na przedstawieniach „Marcina Łuby“. Przygnębiające wprost wrażenie sprawia ta pustka w sali i zupełna obojętność nielicznych słuchaczów. I doprawdy chciałoby się wierzyć, że mamy tak wydelikacony smak artystyczny, że razi nas już kilka uchybień i scen nieudanych, chciałoby się wierzyć, że dramatyczna literatura nasza to skarbnica dzieł wielkich i potężnych, wobec których „Marcin Łuba“ jest drugorzędnym i niegodnym uwagi utworem. Nie zapominam bynajmniej, że repertuar naszego teatru ma względy dla „Gęsi i Gąsek“, że gustuje w „Flircie“, że daje nam — wprawdzie podejrzane i niepewne — „Szczęście w zakątku“, że nie lęka się nawet czarnoksięztwa „Szklanej góry“ i dziwotworów przyrody w rodzaju „Półdjabla“. Pamiętam to wszystko — a jednak „Marcin Łuba“ jest rzeczą piękną, choćby dlatego, że jest niezmiernie prostą. Syn z uniwersyteckiej ławy wraca do rodzinnej wioski i w ojcu znajduje lichwiarza, który jest ruiną całej gromady. Gromada otwiera mu oczy a papiery ojca potwicrdzają mu tylko słowa gospodarzy. Musi on wystąpić przeciw ojcu na jedynej drodze, na której zwycięstwo osiągnąć może, na drodze karnej. Sąd przyznaje słuszność grabionym i wyzyskiwanym i Łubie grozi kryminał. Dumny i zuchwały chłop nie może przenieść tej hańby i klęski i w paroxyzmie wściekłości i rozpaczy odbiera sobie życie. W chacie ze świeżym trupem ojca zostaje syn-oprawca; do chaty tej wchodzi teraz jego narzeczona — chłopka, ze słowami: „Oto nasze dziedzictwo“. Ażeby spotęgować wrażenie, autorowie (Sewer i Miciński) usunęli epizody i poboczne intrygi; nie ma tam szablonowych romansów służby lub ścierań kurzu, któremi tak ładnie rozpoczynają się akty wielkich współczesnych dramaturgów. W całej nagości staje przed nami walka potężnego wyzyskiwacza, któremu z wielkim poczuciem artyzmu autorowie nie skąpili cech podnioślejszych i szlachetniejszych — z gromadą bezbronną, ogłupioną i bezradną. Do tej walki żywiołowej młody zapaleniec przykłada bezmyślnie, na ślepo miarkę wzniosłych ideałów i poświęca ojca dla upioru sprawiedliwości raczej, niż dla tej gromady, która zrozumieć go nie może i która przez usta kochającej dziewczyny mówi mu, że śmierć starego, to tylko ich powrót do swego dziedzictwa. I gdy Jan Łuba płacze pochylony nad stołem, poczucie jego winy potęgować się musi gorzkiem i dręczącem pytaniem: czy dla tych ludzi zgubić ojca naprawdę było sprawiedliwem?

Teraz rozumiemy już, dlaczego „Marcin Łuba“ upaść musi. My przecie nie lubimy, aby nam zadawano dokuczliwe i jątrzące py-

tania. A nadewszystko nie podoba nam się szczerość i konsekwencya. Co nam do tego, że gdy oko w oko zetrze się ludzka namiętność z ideałem, to jedno z nich zginąć musi? Dlaczego my patrzeć mamy na brutalny widok agonii?

Że tak myślimy zawsze, stąd literatura nasza należy do najmilszych w świecie. Posiada ona, jak żadna inna, dar omijania wszystkiego, co tak lub inaczej może podrażnić ducha. Erotyka nasza jest bezbarwna, psychologja płytka. Mając mistrzowskich pisarzy w mezza voce, nie mamy głosów ani uszów dla forte i pianissimo. W „Marcinie Łubie“ autorowie starali się wziąć kilka głębokich i potężnych tonów i padli ofiarą swej odwagi. Tylko cześć im za to się należy.

* * *

Szanowna Redakcyo! Na podstawie § 19 ustawy prasowej upraszam umieścić we waszem piśmie następujące sprostowanie:

W zeszycie I. pisma *Krytyka* z mies. kwietnia, w art. pod tytułem kronika miesięczna, mieści się krytyka mojej działalności politycznej, która się kończy słowami: „Broniąc się przed zarzutem złamania solidarności zajął p. Lewakowski, komiczne stanowisko natręta wyrzuconego za drzwi, a chcącego wleść koniecznie oknem“. Nieprawdą jest, jakobym gdziekolwiek lub kiedykolwiek z okazyi wykluczenia mię z koła, był bronił się, że nie złamałem solidarności tej w znaczeniu i pojęciu koła polskiego. Przeciwnie, odrazu wypowiedziałem, że głosowałem z namysłem przeciw kołu w tej sprawie. Broniłem się tylko przeciw zarzutowi, iż przez to złamałem solidarność narodową; a już wierutną nieprawdą jest, żebym cokolwiek był uczynił albo wyrzekł, coby zdradzało chęć powrotu do tego koła, które mię już nigdy nie obaczy w swoim gronie.

Z poważaniem

DR. KAROL LEWAKOWSKI.

Zamieszczając sprostowanie to, winniśmy zauważyć, że charakterystyka zachowania się dra Lewakowskiego, podana w poprzednim numerze naszego pisma, usprawiedliwiona była dotychczasowem jego postępowaniem w sprawie powyższej. Wobec stanowczego atoli oświadczenia szan. posła, złożonego zarówno na zgromadzeniu relacyjnem we Lwowie, jak i w niniejszem sprostowaniu, zarzut uczyniony dr. Lewakowskiemu w kwietniowym numerze „Krytyki“ oczywiście nadal ciężyć na nim nie może.

REDAKCYA.

SPRAWOZDANIA I KRYTYKI.

Aleksander Świętochowski: Poeta jako człowiek pierwotny. Kraków 1896.

Szczupłą broszurkę Świętochowskiego bierze się do ręki z zaciekawieniem, usprawiedliwionem nie tylko tytułem jej, ale i nazwiskiem autora. Świętochowski przyzwyczaił nas do tego, że ilekroć głos zabierał — miał zawsze coś do powiedzenia i na wypowiadaniu beztreściwych frazesów nie poprzestawał — Tym razem znęcił go temat dość niezwykły: oto wykazanie, że pomiędzy człowiekiem pierwotnym, a poetą dzisiejszych czasów, a więc człowiekiem, który przebył wszystkie fazy kulturnego rozwoju — zachodzi wielkie podobieństwo w sposobie pojmowania i wyrażania zjawisk natury i uczuć indywidualnych.

Jako podstawę dla wywodów swoich obrał Al. Świętochowski dzieła najwybitniejszych poetów naszych: Mickiewicza, Krasińskiego, Słowackiego, Goszczyńskiego, Ujejskiego, Kochanowskiego, Węgierskiego i Konopnickiej (którą uważa za najznakomitszy współczesny talent poetycki w Polsce). Wyjątkami i cytatami z ich poematów stara się Świętochowski wykazać słuszność twierdzeń Tylora i wielu innych uczonych, według których sztuka poetycka polega w znacznej części na naśladowaniu wyrażeń z dawnych stopni kultury, kiedy poezya była naturalnym objawem jakiegoś silnego wzruszenia, naturalnem wyrażeniem jakiejś uroczystej odezwy, lub tradycyi przodków. Stosownie do tego pojęcia — przedstawia też poeta nowoczesny wielkie podobieństwo do człowieka pierwotnego. „Obaj bowiem wierzą w rzeczywistość swoich wyobrażeń... Tylko gdzie dziki spostrzega swoje widziadła, tam ucywilizowany lubuje się urojeniami.“

Animizm dzikiego polegał na tem, że według jego pojęć cała natura była wskróś przeniknięta lub napełniona masą lotnych, przejrzystych, zwykle niewidzialnych istot, obdarzonych tą mocą, którą nauka nowoczesna przyznaje prawom przyrodniczym. Człowiek dzisiejszy poznał wprawdzie część tajemnic przyrody i tłomaczy je sobie jasno, pomimo to jednak nie wyzbył on się całego zasobu pierwotnej kultury i dotąd go w pewnej mierze dźwiga. Pozostało w nim mnóstwo t. zw. „przeżytków“, które jako czynniki wychowawcze, jako kategorya myślenia, jako dogmaty, jako formy artystyczne i językowe, przekazują się drogą tradycyi z pokoleń na pokolenia. Bez środków, które język odziedziczył po odległej przeszłości, nie moglibyśmy nawet porozumiewać się w życiu codziennem. Gdybyśmy te wyrażenia obrazowe, przejęte z czasów i pojęć animizmu usunęli z naszej mowy, pojęcia nasze straciłyby swoje ciało, a przerodziłyby się w martwe nowotwory. Skoro więc umysłowość nasza ma tak dużą domieszkę pierwiastków duchowego dzieciństwa ludzkości, nic dziwnego, że łatwo i mocno wszczepiają się one w organizacyę tak do pojęcia podatną, jak wyobraźnia poety.

Świętochowski wykazuje to, porównując znaczenie, jakie w wyrazy duch i dusza kładł człowiek pierwotny, a obecnie kładą poeci cywilizacyi, którzy duchami i duszami takimi ożywiają całą naturę na podobieństwo plemion dzikich, z tą jedynie różnicą, że ożywianie to, odpowiednio do szerszego zakresu pojęć, uczuć i stosunków, jest rozleglejsze i rozmaitsze. „W właściwem też rozumieniu rzeczy powiedzieć można, że poeta nowoczesny jest pierwotniejszym od pierwotnego“. Jeszcze bardziej uderza wskazane powyżej podobieństwo poety do człowieka pierwotnego w porównaniu ich stosunku do wielkich tworów i zjawisk natury, które najsilniej poruszają fantazyę i dostarczają jej najobfitszego materyału do snucia bajki, legendy, mitu. Ziemia, niebo, słońce, księżyc, gwiazdy, piorun, tęcza i t. d — oto są przedmioty, o które imaginacya najchętniej zaczepia nić swej poetycznej przędzy.

Większe lub mniejsze natężenie animizmu w poezyi nie zależy przytem tyle od epoki rozwoju kultury, ile od miary talentu. To znaczy: im większy poeta, tem utwory jego bardziej są animistyczne.

Obok podobieństwa atoli, zachodzącego między poetą a człowiekiem pierwotnym, nie zapoznaje Świętochowski i różnic, a widzi ich trzy: 1) człowiek pierwotny wierzy w prawdę i rzeczywistość swoich animistycznych wyobrażeń, poeta nie wierzy i używa ich tylko jako formy do wyrażania swych wrażeń, uczuć i myśli; 2) pierwszy tworzy mity całkowite, drugi tylko ich zaczątki i okruchy; 3) pierwszy do wszystkich przedmiotów od-

nosi zawsze te same wyobrażenia — drugi rozmaite.

Z natury rzeczy nasunęło się pytanie, czy poezya nigdy nie przestanie zwracać się po zasiłki do wierzeń i legend kultury pierwotnej? Co się stanie z poezyą, gdy rozum zdobędzie i przyłączy do swego królestwa dalsze dzielnice, zostające pod berłem fantazyi? Na to odpowiada Świętochowski: — gdybyśmy wszystko poznali, gdyby z wszechświata opadły wszystkie zasłony i on stanął przed nami w całej przejrzystości, może wówczas w jego naturze dostrzeglibyśmy tyle uroku, tyle piękności, że poezya nie potrzebowałaby swych utworów przystrajać szatami zmyśleń, bo daleko wspanialszą dla nich ozdobę znalazłaby w prawdach.

Teza, rozwinięta i sumiennie udowodniona w rozprawie Świętochowskiego, jest niezawodnie i niezwykłą i zajmującą, atoli świeżą, ani oryginalną nazwać jej nie można. Od czasów Lessinga, który w „Laokoonie“ potrącił o nią, była ona tematem szerokich wywodów, z których najwyraźniejsze przytoczył Świętochowski w swej broszurze. W czem jednak tkwi szczególna wartość tej broszury, to w zastosowaniu metody autora do dzieł naszych poetów, metody pozwalającej o wiele lepiej i trafniej wniknąć w twórczość danego talentu, aniżeli wszelkie inne. Nie jest to wprawdzie, o ile mi wiadomo, pierwsza próba, podjęta w tym kierunku w naszej literaturze, gdyż już Biegeleisen w swoim „Panu Tadeuszu“ i Bolesław Prus w swoim nieudanym rozbiorze „Farysa“ starali się w zbliżony sposób poddać analizie utwory Mickiewicza; ale Świętochowski znalazł właściwy punkt patrzenia, wolny od szkolarskiej jednostronności. Życzyćby sobie należało, aby podjęta przez niego próba znalazła zdolnych naśladowców.

DR. IGNACY SUESSR.

*

Marya Konopnicka: Poezye. Serya IV. Warszawa, 1896.

W ostatnim tym swoim tomie poetka zebrała z małymi wyjątkami (Pan Balcer w Brazylii, Italia) wszystkie swoje utwory z lat ostatnich. Rzadziej, niż przedtem, natchnienie jej zwraca się obecnie ku niebezpiecznym wyżynom metafizyki, zkąd tak łatwo stoczyć się można w głęboką przepaść retorycznych frazesów. Mniej mamy zuchwałych w niebo zapędów, które od czasu Mickiewiczowskiej improwizacyi bardzo ryzykownem stały się zadaniem, ale za to stokroć więcej misternie nieraz oprawionych w rymy pereł szczerego, niekłamanego uczucia. Talent Konopnickiej jest talentem *par excellence* kobiecym i nie wtedy zdobywa się na najlepsze dzieła, gdy chce przeklinać, lub prorokować, ale gdy chce współczuć i pocieszać, gdy wolny bieg daje litości, którą w niej nędza i ból wzbudzają. Czy opowiada nam o niedoli miejskiego dziecka, łaknącego w suterenach powietrza i światła (W piwnicznej izbie), czy mówi o pustce, którą śmierć istoty ukochanej wyrządza (Jej pamięci), czy na ludową nutę śpiewa o tęsknocie za ojczyzną:

Hej, hej! płynie rzeka,
Hej! we świat gdzieś ucieka,
Hej! serce we mnie płacze,
Hej! żeś mi tak daleka!

zawsze znajduje wtedy właściwy czarodziejski wyraz, który przylega do myśli jak skóra do ciała, zawsze stwarza rzecz piękną i współczucie obudzić zdolną.

Jak nikt z piszących współcześnie poetów, Konopnicka oddać potrafi nastrój chwili, uchwycić ukryty w krajobrazie lub widzeniu symbol, wzbudzić dreszcz przeczucia. Cztery pejzaże-fantazye „Na jeziorze“ stanowią najcelniejszą może całego tonu ozdobę. Oto jak np. sunie po falach łódź poetki:

W zachodu złotą płyniem dal
Po szmaragdowej fali.
Na krańcu nieba ogniem zórz
Wielka się łuna pali.

Ogromny ognia płonie stos
U samej nieb krawędzi.
A taka cisza, że bez tchu
Łódź nasza w ogień pędzi.

Szereg poematów drobnych, osnutych na tematach greckich (Hellas) nie jest greckim z istoty ducha swego. Świat klasyczny nie zna współczucia, to też poetka choć wstąpiła na pogodną, ukochaną przez bogów krainę, choć otoczyły ją marmurowe świątynie i mirtowe gaje, nie mogła zapomnieć o ziemi rodzinnej i miłości uciemiężonych. Na Helotę skrępowanego w jarzmie, na poetę Thymona, którego dziewięciostrunną lirę przykuto do pręgierza za to, że nowe dźwięki głosić śmiała, pada jej wzrok odrazu wśród wesołej zieleni greckich łąk. Chętniej mówi o tych, którzy przyjdą, niż o tych, którzy są i przeminą. J. STEN.

*

A. Lange: Poezye. Część I. Kraków 1896.

Z pośród plejady młodych talentów poetyckich wyróżnia p. Langego pewien filozoficzny nastrój, pewien wyższy polot myśli i lubowanie się w Shelleyowskiej refleksyi. Nie ma za to w poezyach jego prostoty, którąby czytelnika ujmowała swoją szczerością, nie ma głębi wątpienia, którąby w nim poruszała struny własnej duszy; nie ma też naiwnej wiary w ideał, którąby nieciła zapał. W poezyach p. Langego jest dążenie do ogarnięcia szerokich widnokręgów myśli; dążenie tak wyraźne, że łatwo może w błyskotliwy popis się zamienić. Nietylko treść, ale i forma, styl, wyrażenia — wszystko nacechowane jest pewną emfazą, która w małych dozach sprawia wrażenie egzotycznej narkozy, w większej aoli dozie staje się męczącą dla czytelnika; to też przeczytanie zbiorku poezyj p. Langego jednym tchem — byłoby zadaniem wcale trudnem dla człowieka o nieco wrażliwszem usposobieniu. Atoli nie można zaprzeczyć, że po za tą emfazą kryje się u p. Langego nierzadko myśl istotnie godna uwagi, ubrana w szatę kunsztowną, a nawet — oryginalną. — Sprawami potocznego życia nie zajmuje się p. Lange w swoich poezyach. Myśl jego szybująca po przestworach wszechczasu („Godzina“, „Księgi proroków“) nie zniża lotów swoich na ziemię dzisiejszą i nie zatrzymuje się nad jej żywotnymi objawami. To też z wyjątkiem kilku nawiasowych wzmianek o ludzie wiejskim („Na roli“), o nędzarzach („Godzina“) — nie ma w jego poezyach jednego widomego znaku z życia się z prędami społecznymi doby dzisiejszej.

W poematach, jak „Venus żebraczka“, „Powieść o Waligórze i Wyrwidębie“ — możnaby się ostatecznie dopatrzyć pewnych aluzyj do życia współczesnego, ale są to aluzye bardzo zwodne i nikłe.

Dużo stosunkowo miejsca poświęcił p. Lange uczuciom egotycznym, choć i tu przeważa refleksya, dochodząca do tego stopnia, że poeta pisze poprostu egzegezę uczucia, którego ani wysłowić, ani wytłumaczyć nigdy nikomu się nie udało jeszcze, tj. miłości („Fragment“). Są jednak między jego utworami poświęconymi rozpamiętywaniu nad własnymi serdecznymi bolami i tęsknotą — strofy rzeczywiście piękne i pełne nastroju. Najudatniejszym utworem w zbiorku wydaje mi się poemat „Lilith“, podany niestety tylko w urywku, który jednak pozwala ocenić skończony artyzm formy. — „Palingeneza“ grzeszy rozdźwiękiem między treścią, a formą, która jej nie dorównywa.

W końcu zaznaczyć się godzi, że w całym zbiorku „Poezyj“ p. Langego nie ma ani jednego szczerego oddania natury. Objaw ten zaznaczam z tego powodu, że jest on charakterystycznym dla twórczości autora „Pogrzebu Shelley'a“, której zasadą jest — refleksya. Pod tym względem widocznym jest wpływ angielskiego wieszcza na naszego poetę, który w zbiorku swoich „Poezyj“ złożył zadatki talentu silnego, a nawet niepospolitego ale potrzebującego jeszcze pewnego czasu do zupełnego rozwinięcia swoich skrzydeł.

IGN. SUESSER